Nr. 32. Poznań, dnia 12 Sierpnia 1906 r. Rok X.

PRACA

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. **Ogłoszenia:** od wiersza drobnego 20 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 32-go.

Dług twój — Polaku!

Polaku! jeszcześ nie dorósł, jeszcześ [nie zasłużył,
A jużeś się Ojczyźnie wdzięcznością [zadłużył.

I nie chcemy o tem pamiętać.

Nie poczuwamy się do obowiązku spłacania długów, które rosną i cięższe są z każdym dniem.

Jesteśmy tyle winni, a oddajemy, albo bardzo mało, albo wcale nic.

I nie chcemy o tem pamiętać...

Ojczyzna dała nam sławy jasnej aureolę, a my — czem płacimy za to?

Ojczyzna dała nam przykład cnót największych do naśladowania, a my — jakże pełnieniem cnót odwdzięczamy się?

Ojczyzna dała nam skarb wiary św., a my — czyż umiemy uczcić go należycie i wypełnić nim życie?...

Ojczyzna dała nam imię, ziemię, chleb, podania, historyę, literaturę, cały rozwój życia duszy, serca, wiary, a my?...

Wzięliśmy wszystko i sądzimy, iż nic nam nie pozostaje innego, jak tylko użycie i korzystanie?...

Za wszystko trzeba płacić — rzekł Mickiewicz — i nic w świecie wzięte nie zostaje bez odpłaty, bo i za mienie trzeba mieniem płacić, za wiedzę trzeba płacić wdzięcznością i użyciem jej — za litość — sercem, za chleb pracą, za przeszłość trzeba płacić przyszłością.

Ileż mamy długów do spłacenia!...

Wszystko, co dała nam przeszłość — musimy oddać przyszłości i nie wolno nam nic z tego stracić, lecz trzeba nam wiele przymnożyć.

Zatracona w naszem życiu jedna cnota ciążyć będzie wielkim długiem i gdy zejdziemy ze świata, cień długu niezapłaconego pójdzie za nami daleko i daleko.

Zatracona w naszem życiu gorąca wiara i pobożność życia — jest długiem strasznie ciężkim do wyrównania a o ile my nie spłacimy tej winy, o tyle Ojczyzna nasza boleje i cierpi, upada i ginie...

Wzięliśmy od Ojczyzny byt i godność wielką, bo chlubą zwać się jej dziećmi, — a czyż staramy się o to, aby nasze życie przyniosło jej chlubę i godność większą, abyśmy pracowali na byt Jej — Jej — zgnębionej... złamanej — zdeptanej?...

A!... nam idzie o nasz byt — o nas samych, o nasz chleb, nasze wygody, nasze rozrywki i wesela...

Dług wielki ciąży nad nami, a czy nie sromota być dłużnikami i wobec kogo? wobec Ojczyzny!

Gdybyśmy my nasze długi wypłacali, jak sumienie nasze żąda — o!... wieleż by ona była silniejszą — potężniejszą — sławniejszą!...

Ruskin, sławny pisarz angielski powiada:

„Kiedy dumamy o Ojczyźnie — wyobrażamy sobie koronkę gór, radosne wody rzek, niebieskie półkola jezior — pochyłe wzgórza otoczone polami i poradlone bruzdami, jak rysunek rytownika, gdzie lecą rozrzucone nad siecią dróg i unoszą się dymy miast w wieczornem niebie, i im piękniejszem jest to widzenie, tem bardziej kochamy Ojczyznę, której jest ono odbiciem".

Tak pisze Anglik o swej Ojczyźnie — o której przecie nie może powiedzieć, czy jest ona najpiękniejszą na ziemi, a najnieszczęśliwszą — skrzywdzoną — stokrotnie.

A my?

I nie chcemy o tem pamiętać...

Wszakże i to dla tego, że nie pamiętamy o niedoli i nieszczęściach Ojczyzny, o których przecież należy pamiętać.

Wzięliśmy Ojczyzny wszystkie bóle, rany, krzywdy i nieszczęścia i mamy spłacić, o tak... spłacić co do szeląża, co do źdźbła, co do łzy ostatniej...

Jakże do tego daleko...

Jakże mamy wiele długów i piszemy weksle raz po raz, a nie myślimy, kiedy grosz damy...

Dług twój Polaku — to miłość Ojczyzny i musisz Ją kochać uczciwie, gorąco, stale i czynem to kochanie stwierdzić.

Dług twój Polaku — to mowa ojczysta i musisz ją oddać niezepsutą, nieskalaną, bo inaczej byś strasznie wiele był winien.

Dług twój Polaku — to ziemia Twoja cała — wielka — daleka, a nie wolno ci jej sprzedawać obcym ani przefrymarczać za Judaszowe pieniądze...

Dług twój Polaku to obyczaje narodowe, strój polski, pieśni nasze, literatura ojczysta i nie tylko ci nic z tego nie wolno niekochać, nieznać, ale masz to rozwijać, ulepszać i młodszym pokoleniom do ukochania podać.

Dług twój Polaku — to wieczna i ciągła straż nad tem, aby Ojczyzna nie upadała, nie gasła, nie nikła, lecz roz-

wijała się siłą moralną, duchową i fizyczną, bo za wszystkie nie popłacone długi braci naszych — spłacać nam trzeba...

Dług twój Polaku to wreszcie wielka praca nad ludem, bo musimy oddać to wszystko, czego ludowi praojcowie nie dali...

A my o tem nie pamiętamy...
Winniśmy wiele.
W około nas zaległości...
Każda chwila szepce nam: Długi! długi! długi!.“‘

„Na wasze ręce silne, na głowy uczone
„Od zgonu waszych przodków, do dzisiejszej chwili...
„Obliczcie coście wzięli, coście przymnożyli...“

A tak!... Coście wzięli, — a czegoście nie dali nic — nic, ani odrobiny... obliczcie!...

Jakże smutne takie wołanie...
Jakże wielkie nasze długi...
A o tem nie chcemy myśleć..

List z Ameryki.

Ruch ludu naszego, skierowany potrzebą szukania chleba za granice ziem dawnej Rzeczpospolitej Polskiej czy to do Berlina, czy do Westfalii, czy za morze wreszcie do Ameryki — ten ruch jest niewstrzymany.

Ruch ten obejmuje wszystkie narody żywotne.

I szczęśliwe są te ludy, które są wolne, które są niepodległe obcemu rządowi, które własny mają rząd. Bo ten rząd opiekuje się tym ruchem wychodźczym swego ludu, szuka dla niego najlepszych kolonii, ziem żyznych i osłania go przed wszelkiemi niebezpieczeństwami.

Państwa miliony wyrzucają ze skarbca swego na kolonie.

Tylko ruch ludu polskiego nie ma żadnej opieki, przeciwnie napotyka na wyzysk w drodze, a często na klątwy w kraju.

Istotnie ruch ten znajduje się na opiece Boga i opatrzności. Zapewne też już tysiące tego ludu poginęły — tysiące zaś — jakby nadludzkiem wiedzione uczuciem — dotarły do ziemi, która im chleb daje i dobrobyt.

Znane jest wychodźtwo do Stanów Zjednoczonych Półn. Ameryki, znana jego zamożność, jego pomoc, jaką daje braciom pozostałym w kraju, jego patryotyzm i ofiarność na cele narodowe.

Ale nie tylko Stany Zjednoczone nęcą nasz lud, idzie on za chlebem i dalej jeszcze, czego dowodzi następujący list*).

Szanowna Redakcya Pracy!

Dotąd w Polsce szerszemu ogółowi znaną jest przedewszystkiem emigracya polska w Stanach Zednoczonych — mniej zaś emigracya w *Kanadzie***).

Federacya Kanadyjska (pod berłem angielskiem), to kraj nie ustępujący obszarem ni bogactwem przyrody Stanom Zjednoczonym — owszem kraj to XX wieku, jak powszechnie prasa się wyraża — a nawet konsul niemiecki w Winnipeg przed kilku laty wabił swych ziomków, mówiąc, że to — kraj przyszłości.

Rok rocznie wzmaga się tu emigracya wszystkich narodów, tysiącami przybywają też Polacy. Jakżeż smutnie jednakże przedstawia się ta nasza polska emigracya wobec doskonałej organizacyi emigracyjnej innych narodowości?

Zapewne wstrzymać dziś nikt nie zdoła prądu emigracyjnego, choć szczerze poradziłbym niejednemu dobrze się namyślić co lepsze, czarny chleb w dostatku, czy niepewne dostatki w przyszłości, — w każdym razie w pierwszych czasach pewny wyzysk ze strony żydów, często nędza i głód.

Czego więc potrzeba? Organizacyi emigracyjnej, powiem po chrześciańsku *trzeba opieki emigrantom*!.

Podobno w kraju, przynajmniej w Krakowie istnieje jakieś katolickie towarzystwo emigracyjne św. Rafała.

Wszyscy ludzie dobrej woli, zwłaszcza inteligencya i Czcigodne Duchowieństwo dodatnio tu wpłynąć może, kierując biednych emigrantów do tego polskiego (?) katolickiego towarzystwa św. Rafała — owszem stworzyć jakąś akcyę emigracyjną na szerszą skalę.

Odważę się odezwać, salva debita reverentia, że duchowieństwo w kraju powinnoby sobie uważać za obowiązek otoczyć opieką ojcowską emigrujących parafian.

*) Szan. Autora prosimy o podanie nam szczegółów różnych o kanadyjskich koloniach polskich — ile ich jest, jakie wielkie, — jakie w nich życie społeczne i narodowe. Redakcya „Pracy“.

**) Kanada — kraj w Ameryce Północnej, położony na północ od Stanów Zjednoczonych.

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

16) Opowiedział

Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Oburzenie na tę niemczyznę panowało w kraju powszechne a w Gubernium kilkakrotnie zapytywano:

— Dla czegóż to dla młodzieży naszej nie mogą się odbywać wykłady w języku polskim?

Wtedy radzca gubernialny odpowiedział z pogardą:

— Cóż wy sobie myślicie, że wasz dziwny język polski do naukowych wykładów mógłby się nadawać?![1])

Uniwersytet lwowski zniósł cesarz Franciszek II[2]) w roku 1805, gdy Kraków ze swym uniwersytetem do Austryi przyłączony został.

Gorliwy o naukę niemczyzny w Galicyi, a swobodny co do religii Józef II, zamienił klasztor księży Teatynów we Lwowie na zbrojownię, a ich kościół na szkołę niemiecką.

Uciążliwa cenzura niemiecka wstrzymywała rozwój oświaty w kraju, a ucisk podobny panował i w innych zaborach Polski. Obok szkół miał znajomość niemczyzny rozpowszechniać także teatr niemiecki, założony we Lwowie. A szczególnem jest, że wobec powszechnego znaczenia klasztorów przez Józefa II, O. O. Franciszkanie lwowscy tak cieszyli się, iż Austryacy zabrali ziemię polską, że na bramie kościoła swego umieścili następujące dziękczynienie:

— Uszczęśliwieni jesteśmy i uroczyście dziękujemy Panu Bogu, że klasztor nasz powrócił pod rząd prawych monarchów austryackich!

Aż tu ten „prawy“ monarcha wydaje następujące rozporządzenie:

— Klasztor O. O. Franciszkanów jako obszerny gmach słuszniej zamieniony zostaje na teatr niemiecki![3])

Przyczyniały się do germanizowania Galicyi sprowadzone za Maryi Teresy i Józefa II kolonie niemieckie, na bardzo korzystnych osadzone warunkach; istnieją one do dziś dnia. O gorliwości Józefa II dla kolonistów niemieckich świadczy następujący jego cyrkularz wydany dla hr. Zamoyskiego (17-go stycznia 1785 roku):

— Wyrażamy najwyższe uznanie nasze dla hr. Za-

[1]) Sokołowski, IV, 1241 r.
[2]) *Franciszek II*, Józ. Karol, syn ces. Leopolda II, od r. 1792—1806 cesarz rzymski, od r. 1806 cesarz austryacki, jako taki zwany Franciszkiem I.

[3]) Morawski, V, 207 r.

A akcya ta dobroczynna potrzebną jest pod każdym zaborem, choć przedewszystkiem może w Galicyi, która wraz z zaborem rosyjskim (Kongresówka i Litwa) najliczniejszego dostarcza Kanadzie kontyngensu, a przykro mi, lecz prawdę powiem: emigracya polska (galicyjska) przybywa pod opieką żydowską, a przecież w Galicyi duchowieństwu i całemu społeczeństwu nawet rząd pomocy nie odmówiłby.

Ile cierpień fizycznych i moralnych przechodzą ci biedni emigranci polscy, otoczeni czułą opieką agentów żydowskich, na to nie stać mego pióra. Każdy przecież w Polsce zrozumie mnie, gdy powiem, że ci agenci żydowscy traktują naszych emigrantów polskich, jak im talmud nakazuje traktować gojmów.

Zapewne żaden z czytelników „Pracy'' nie posiada tak twardego serca, by wobec słów mych wyrzec: sami sobie winni, mogli siedzieć na starych śmieciach. — Rzeczywistość nam pokazuje, że głodny szuka chleba, a słabość ludzka szuka dobrobytu. — Tu właśnie obowiązkiem jest oświeceńszych udzielać światła masom ciemnym, — a stanowisko i godność często nakładają obowiązek specyalny: opieki nad słabymi.

Duchowieństwo nasze tak szczerze patryotyczne, tak głęboko religijne, — ono zapewne pierwsze weźmie się do dzieła, a wątpić nie śmiem, że społeczeństwo poprze szlachetne dzieło, — a szlachetne dlatego, że skierowane ku dobru materyalnemu emigracyi, — szlachetne, bo dla narodu i religii.

Niechby Polacy wzięli sobie do serca przykład choćby Syryjczyków, pominąwszy już Irlandczyków, Francuzów, Włochów i innych. Oto temi dniami przybyła do Kanady delegacya syryjska, by zwiedzić całą Kanadę i wybrać względnie najkorzystniejszą okolicę dla swych ziomków.

Wszyscy obconarodowcy opuszczają kraj pod opieką narodowych syndykatów, — wsiadają na okręt również pod opieką agentów patronatu narodowego, przybywają nareszcie do Montreal (port Kanady) i tu znowu przyjmuje ich agencya narodowego patrona tu emigracyjnego i każdemu emigrantowi zaraz wskazuje się zajęcie lub wysyła się go na grunt dlań przeznaczony, według woli, jaką w *kraju* wyraził.

Nawet Chińczycy mają tu agencye emigracyjne.

Polacy przybywają pod opieką żydowskich wyzyskiwaczy — i tracą na tem fizycznie i finansowo, przedewszystkiem traci wiara i narodowość. Miejscowa prasa nigdy przychylnie o naszych emigrantach się nie wyraża, a zawsze ma sarkastyczne dla nich przycinki, a z entuzyazmem wyraża się n. p. o (Niemcach!) Szkotach i Irlandczykach.

Akcyi więc w kraju trzeba i organizacyi emigracyjnej — a owoce błogie w przyszłości ujrzymy: emigracya więcej się zgrupuje, — zdolna będzie utworzyć parafie i w ten sposób zmniejszy się ilość zbrodni, których się tu nasi dopuszczają, a obcy poczną nas i tu szanować.

Oby słowa moje znalazły przychylny odgłos w całym kraju, zwłaszcza u Czcigodnego Duchowieństwa, które najwięcej zdziałać tu może.

Słowa te dyktowało serce szczerze i gorąco kochające Naród i Ojczyznę.

Z należnem poważaniem
Leon C. Jandy, st. th.
Rigand, Pr. Oneb. (Canada - N. Am)
d. 25. VII. 06.
„College Bourget''.

Sprawa potrzeby zorganizowania naszego ruchu wychodźczego nie po raz pierwszy bywa poruszana publicznie. Widocznie wszelkie próby ujęcia tego ruchu i skierowania go w jednym kierunku okazały się dotąd niedostatecznemi.

A żywotna to dla nas sprawa. Przypomnimy tylko napływające rok rocznie do kraju z wychodźtwa tysiące a nawet miliony oszczędności. I jeżeli społeczeństwo nasze ekonomicznie się podnosi, to oprócz własnemu postępowi ma wiele do zawdzięczenia wysiłkom i pracy tych — tułaczy za chlebem, wychodźcom, emigrantom polskim.

Czyż nie powinno się nimi więcej zaopiekować aniżeli się to dotąd działo?

Samopomoc naukowa.

III.

W początkowej nauce czytania polecam rodzicom usilnie nie męczyć ani nudzić dzieci czytaniem niezrozumiałych wyrazów i zdań. Chodzi bowiem głównie o to, aby myśl dziecka pobu-

---

moyskiego za „czyn patryotyczny'', osadzenia 80 kolonistów niemieckich w dobrach należących do ordynacyi hr. Zamoyskich![4])

Cesarz Józef II, zaprowadzając reformy w Galicyi, objął też niemi i Kościół. W całem swem państwie usiłował on umniejszyć władzę papieską, a zwiększyć zależność Kościoła od rządu.

— Sam, według własnej myśli urządzę Kościół w Austryi, ażeby należycie służył celom państwa! — mówił przesadnie a gwałtownie.

Zabronił więc znosić się biskupom bezpośrednio ze Stolicą apostolską, a zakonom ze swymi przełożonymi za granicą, jako też ogłaszać rozporządzenia papieskie bez zezwolenia rządu. Dnia 17-go grudnia 1781 roku zniósł w państwach swoich 624, t. j. większą część klasztorów, w Galicyi z 214 istniejących zniósł 150, tak, że zostało tylko 64. Budynki klasztorów z kościołami zamieniał na koszary, biura, składy, więzienia, szpitale. Tak we Lwowie z klasztoru OO. Karmelitów zrobił więzienie, z klasztoru OO. Kapucynów koszary, w gmachu pojezuickim urządził biuro rządowe, w klasztorze OO. Pijarów — szpital, w innym jeszcze kościele — zbór protestancki. Była już wyżej mowa o klasztorze OO. Teatynów i Franciszkanów. W Tarnowie z czterech kościołów zniesiono dwa: z kościoła św. Ducha zrobiono skład na siano, z kościoła Panien Bernardynek inny magazyn wojskowy. Józef II zagrabił dobra i dochody tych zniesionych klasztorów, a utworzył za to w każdym kraju koronnym osobny fundusz religijny. — Zniósł dawniejsze seminarya duchowne biskupie, a zaprowadził, wyjęte z pod władzy biskupiej, rządowe seminarya generalne, w których przyszłe duchowieństwo kształcić się miało. Cesarz ten urządził i określił wogóle stanowisko, prawa i obowiązki, opłaty i dochody dla duchowieństwa, dalej nominacye proboszczów za pośrednictwem prezenty kollatorów (t. j. przedstawienia kandydata przez opiekuna kościoła, a głównie dziedzica). W swej przesadnej zarozumiałości uważał się nawet za uprawnionego do wydawania przepisów i ograniczenia nabożeństw i obrządków religijnych i t. p. W r. 1781 wydał t. zw. *patent tolerancyjny*, którym w całej Austryi zrównał z katolikami protestantów i dyzunitów; mimo to nie wolno im było jeszcze odprawiać publicznych nabożeństw[5]).

Obok tego ucisku, który nazwać można moralnym, gorszym był ucisk pod względem materyalnym.

Jeszcze patentem z dnia 28-go stycznia 1773 r. ogłoszono:

— Królewszczyzny polskie przechodzą na własność cesarzowej Maryi Teresy i jej następców; dotychczasowi ich posesorowie zatrzymują je w dożywociu, lecz połowę dochodów mają płacić do skarbu cesarskiego!

[4]) Sokołowski, IV, 1241.

[5]) Sokołowski, IV, 1241; Lewicki, 376.

dzić do pracy. Pod tym względem elementarze nasze nie dosyć są praktyczne, gdyż dają z początku same wyrazy, u których większa część zupełnie jest dziecku niezrozumiała.

Skoro więc dziecko rozpozna się z literami, można minąć te karty, zawierające tylko wyrazy, a przyjść do *zdań* n. p. wróbel jest ptak.

Przy czytaniu takiego zdania dziecko myśli o rzeczy dobrze mu znanej, a osoba ucząca powie mu o innych ptakach, nauczy je rozróżniać ptaki od innych zwierząt. Dzieci bardzo lubią odpowiadać na pytania i tym sposobem uczą się *mówić*, a to jest właśnie najgłówniejszą częścią nauki.

Bolesne sprawia wrażenie, gdy dzieci nasze nie umieją po polsku nazwać zwierząt i roślin. Chodzi więc o to, aby jak najwięcej uczyły się wyrazów.

Przeczytawszy te stronnice, dzieci, choć jeszcze nie czytają gładko, mogą przejść do powiastek. Powiastka daje dziecku już nie jedną oderwaną myśl, lecz cały szereg wyobrażeń, gdyż jest obrazem jakiejś czynności, osób lub zwierząt. Zajmuje więc w wysokim stopniu jego wyobraźnię i staje się pobudką *do opowiadania*. Skoro tylko dziecko o tyle nabrało wprawy w języku, że przeczytaną powiastkę opowie choć tylko w krótkich, urywanych zdaniach, wtedy dalsze postępy są bardzo szybkie.

Powiastki dzieci czytają z wielkiem zajęciem i wkrótce uczą się ich na pamięć.

W tym wieku, gdy rozum jest jeszcze mało rozbudzony i czynny, pamięć jest ogromnie wrażliwa i wierna. Należy to wyzyskać w pierwszych latach nauki, aby dać dzieciom jaknajwiększy zasób słów i wprawę w wysłowieniu.

Wierszyki znajdujące się w elementarzu są bez wyjątku bardzo dobre i stósowne, lecz wymagają jeszcze staranniejszego objaśnienia niż powiastka, gdyż mowa poetyczna jest kunsztowniejsza, zatem trudniejsza do zrozumienia.

Po przeczytaniu elementarza dzieci już zachęcone do nauki, przekonywują się, jaka to rzecz łatwa i miła i zazwyczaj chciwie garną się do czytania. Należy im więc dostarczyć stósownych książek.

Wielkiem dobrodziejstewm stały się dla dzieci dodatki gazet ludowych, poświęcone dzieciom. „Przewodnik Katolicki", „Przyjaciel Ludu", „Gazeta Grudziązka" i „Dziennik Kujawski" dają takie gazetki dla dzieci.

Tysiące dzieci zawdzięcza swoją naukę tym gazetkom, ale wielka jest jeszcze niestety liczba rodziców, którzy nie mogą się zdobyć na polską gazetę, choć tak mało kosztuje. Gazeta polska w każdej polskiej rodzinie, dobra książka w ręku dzieci — gdy to życzenie nasze się urzeczywistni, nie potrzebujemy się obawiać nowych wybryków wrogiej nam polityki.

Najnowszem rozporządzeniem w sprawie nauki religii odebrano naszym dzieciom ostatnią odrobinę nauki w języku ojczystym.

O książkach stósownych dla dzieci innym razem pomówimy.

W porównaniu do wielkich strat i krzywd, jakie już ponieśliśmy, rozporządzenie to właściwie nie wyrządza nam tyle złego, ile raczej pobudza rodziców do podwójnej czujności i energii w tym kierunku. *M. G.*

O Chorwatach.*)

I.

Południowa część Europy mianowicie górzysta jej część rozłożona nad prawem dorzeczem Dunaju po wyjściu jego z niżu węgierskiego, zamieszkała jest przez Słowian. Jeżeli byśmy wzięli za znamiona narodowe tylko wspólne pochodzenie i wspólny język, to wszyscy ci Słoweńcy, Chorwaci i Dalmatyńcy zamieszkujący w granicach Monarchii Habsburskiej, i ci Serbowie i Bułgarowie mający własne państewka, niemniej Bośniacy, Hercegowincy i Czarnogórcy i w znacznej części Macedończycy stanowiliby jeden naród. Nie znaczy to jeszcze, aby oni mówili i rozumieli się tak jak n. p. my Polacy mówimy jednym językiem i rozumiemy się zawsze i wszędzie. Owszem liczne narzecza, jakiemi się porozumiewają mieszkańcy jednej krainy, tak silnie się różnią od siebie, że nieraz porozumienie n. p. dwóch chłopów serbskich z różnych okolic jest niemożliwe. Ten wspólny język rozumieć zatem tak należy, że dawniej był on wszędzie ten sam, a z czasem, zwłaszcza pod wpływem języka tureckiego

*) Krótki zarys historyi chorwackiej podajemy ze względu na mający się odbyć zlot ogólny chorwackich „Sokołów." Zlot ten zapowiedziany na dzień 2 września r. b. do Zagrzebia, stolicy Chorwacyi.

A trzeba wiedzieć, że Austrya w spadku po Rzeczypospolitej objęła w Galicyi olbrzymie dobra stołowe i królewszczyzny. Oprócz ekonomii królewskich, z których jedna tylko samborska miała wartość około czterech milionów 200,000 złotych polskich, liczono 72 rozległych starostw, w samem zaś województwie krakowskiem nie należącem w całości do zaboru austryackiego, było 37 miasteczek i 255 wsi. Dożywotni posiadacze tych dóbr i dzierżawcy płacili dotąd z nich do skarbu Rzeczypospolitej tylko kwartę, lub niski czynsz dzierżawny, odtąd zaś, jak wspomniano, mieli już płacić połowę swych dochodów do skarbca cesarskiego. [6])

Przypadły też Austryi ogromne dochody z żup solnych wielickich i bocheńskich.

— A to skromna i rzewna Austrya [7]) tego się obłowiła — mówiły prawie z zazdrością narody inne — Galicya to dopiero cenny nabytek, to obfite źródło mogące dać nieobliczone dochody i korzyści!

— Byle tylko Austryacy umieli rozumnie gospodarować w tej bogatej ziemi, byle jej nie zmarnowali i nie zrujnowali! — mówili nieprzyjaciele Austryi, powątpiewający w zdolność jej do rządów, a może przewidujący tę ruinę bogatego kraju, do jakiej doprowadzić miała w przyszłości Galicyę.

— Mało tego wszystkiego — wołali napływający do Galicyi chciwi urzędnicy Niemcy — wprowadzimy jeszcze monopol[8]) tytoniowy!

I w r. 1778 urządził rząd austryacki monopol tytoniowy a później, kupiwszy żupy solne od prywatnych właścicieli w zamian za dobra koronne, wprowadził stopniowo monopol soli.

Był cesarz Józef II wielkim nieprzyjacielem żydów i surowe rozporządzenia jego wydane względem nich (w r. 1785) pomimo patentu tolerancyjnego z r. 1781, groziły im zupełną prawie ruiną materyalną. [9])

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[6]) Starostwa i królewszczyzny obciążone opłatami rządowemi, sprzedano w roku 1811 za bardzo małem wynagrodzeniem dzierżawców. —

[7]) Cesarzowa austryacka Marya Teresa, „bogobojna a stroskana przymuszoną zbrodnią zaboru, nad którą płakała", pierwsza z zaborczych monarchów oświadczyła Polakom (13 lutego 1773 r.), jakiego na nich użyją sposobu. — Morawski, V, 159, 173.

[8]) *Monopol* (z greck.), jest to handel wyłączny, prawo wyłącznego handlu lub fabrykacyi jakiego przedmiotu, które albo rząd sam posiada, lub komu nadaje (np. monopol tytoniu, soli i t. p.)

[9]) Uniwersał z dn. 24 stycznia 1785 r. nie pozwalał dopuszczać żydów „do arendowania dóbr poddańskich, młynów, intrat jarmarkowych i paśnych i dziesięcin i wywodzenia soli"; nie wolno im było posiadać domów drewnianych, ani trudnić się wyszynkiem wódki i piwa, czyli odbierano im dotychczasowy sposób zarobkowania. Nałożono na nich nowe ciężary: pobór rekruta, znaczne opłaty od mięsa koszernego, zmuszono ich do przyjmowania stałych nazwisk rodzinnych niemieckich, a rabinom nakazano prowadzić księgi metrykalne w języku niemieckim. — Sokołowski. IV, 1241.

zmienił się w niepodobne prawie do siebie narzecza. Dziś ta wspólność językowa polega jedynie na wspólnych rdzeniach słów tak zw. źródłosłowach.

Słowianie południowi zamieszkujący Austryę doprowadzili pod wpływem Chorwatów do ustalenia języka używanego w piśmie i druku tak, że dziś już tylko język słoweński i serbsko-chorwacki, dość zresztą podobne do siebie, rozróżnia się w literaturze. Dziś prócz języka tych niegdyś bliskich pobratymców różni i religia. Jedni bowiem z nich i to w znacznej większości wyznają zasady kościoła grecko - oryentalnego jak Serbowie, Bułgarzy, Czarnogórcy w części Bośniacy i Hercogowińcy, drudzy jak Chorwaci, Dalmatyńcy, Słoweńcy są rzymsko katolikami, inni wreszcie są wyznawcami Proroka, a mianowicie tak Chorwaci jak i Serbowie zamieszkali w Bośni i Hercogowinie. Gdy dodamy do tego rozwój historyczno-polityczny tych ludów, warunki wśród których traciły wolność polityczną nie mogąc swego słabego organizmu państwowego samodzielnie utrzymać, łatwo zrozumiemy, że ta dawniejsza wspólność zatarła się do tyla, iż dziś dzielą ich namiętne antagonizmy, nie rzadko walki jak n. p. między Serbami i Bułgarami lub między Serbami a Chorwatami. Jedynie jakiś wspólny interes polityczny, każe na krócej lub dłużej milknąć tym namiętnościom.

Najczęściej podsyca tę wspólność słowiańską Rosya, dążąca tą drogą do zupełnego opanowania t. zw. półwyspu bałkańskiego. Jej to wpływom zawdzięczają w latach ośmdziesiątych uzyskanie samodzielności państwowej — Serbia i Bułgarya, ona patronuje miniaturowemu państewku Czarnogórze, jej też pomocy częściowej zawdzięczają swój byt Chorwaci. Jakkolwiek Serbia i Bułgarya mają byt państwowy samodzielny, jednak nie przodują południowej słowiańszczyźnie.

Organizowanie się bowiem administracyjne krajów zamieszkałych przez ludność prawie pierwotną i połączone z tem kłopoty, nie pozwoliły na duchowy rozwój tych społeczeństw. Na czoło wybili się Chorwaci, którzy mają nad swoimi pobratymcami tę wyższość, że nie przechodzili zupełnie niewoli tureckiej, a nadto mieli prawie zawsze choć podległe, ale własne państwo. Belgrad i Sofia są stolicami, w ich murach mieszkają samodzielni panujący, mimo to wpływ tych stolic może i znaczny lecz nie twórczy ogranicza się, na małe, własne terytoryum. Natomiast promienie światła duchowego, siły, jaką wydziela z siebie wzmagający się duch narodu, rozchodzą się na całe południe słowiańskie ze Zagrzebia.

Chorwaci posiadają tyle wspólnych z nami cech, los ich tak często jest podobny do naszego, idą w podniesieniu swej cywilizacyi takim dużym krokiem naprzód, że jeżeli mamy zapoznawać się bliżej z rodziną słowiańską, a zapoznawać winniśmy się choćby w tym celu, aby umieć ocenić należycie wartość „słowiańskiej wzajemności“ i wyrobić sobie właściwy a jednolity pogląd na nią, to należy to poznawanie zacząć od Chorwatów.

Aby jednak zrozumieć dzisiejszy stan ich rozwoju na wszystkich polach życia społeczno-narodowego musimy cofnąć się w przeszłość tego narodu i chociaż po krótce ją sobie uprzytomnić.

W wieku XI. stanowiły dzisiejsza Chorwacya, Sławonia i Dalmacya, a więc kraje położone w dorzeczach Sawy i Drawy, i na wschodniem wybrzeżu Adryatyku, jedno państwo, „Trojjedną kraljevinę.“ Było to słabe państewko, a narażone na ustawiczne napady tureckie zawarło już w XII. wieku celem ratowania swej niezależności od przemocy muzułmańskiej wieczystą ugodę z możnym już sąsiadem Węgrami. Było to przymierze zaczepno-odporne zostawiające namiestnikowi chorwackiemu zupełną władzę cywilną, wojskową i sądowniczą, a łączące Chorwatów z Węgrami jedynie osobą wspólnego króla.

Stosunek taki trwał dłuższy czas i był dla Chorwatów wcale korzystnym ze względu na obronę granic kraju przed Turkami. Odbił się jednak niekorzystnie na wewnętrznym rozwoju narodu. Ta wspólność panującego wprowadziła łacinę w powszechne użycie, a zniżyła język chorwacki do rzędu chłopskiej gwary. Słabe też są bardzo ślady literackiego używania tego języka nawet w czasach, w których języki narodowe łacinę zaczęły rugować. Przez ten stosunek z Węgrami był też z końcem XV. w. nasz Władysław Jagiellończyk królem Chorwacyi.

Ta unia z Węgrami miała jeszcze inne daleko donioślejsze następstwa dla Chorwatów. Gdy mianowicie Węgry przeszły pod panowanie Habsburgów, zaczęły z jednej strony samowładcze zapędy panujących, z drugiej wielka zachłanność centralistycznej biurokracyi wiedeńskiej dążyć do stworzenia z Węgier prowincyi austryackiej. Tym usiłowaniom stała na przeszkodzie i dotychczasowa samodzielność Chorwacyi. Należało ją zatem co rychlej jeżeli nie zupełnie znieść to przynajmniej zmniejszyć. Zaczynają więc autokraci austryaccy ścieśniać władzę bana i kraj kolonizować szyzmatyckimi Rumunami, aby osłabić wpływ rdzennej ludności, nadto usuwać pod różnymi pozorami coraz to nowsze i większe okręgi z pod władzy bana, a oddawać je rozkazom wiedeńskiego rządu.

Praktyki te doprowadzają do tego, że banowie zaczynają myśleć o wyzwoleniu się z pod jarzma niemieckiego, a przynajmniej o zdobyciu własnego

Z bajek indyjskich.

O dwóch gęsiach i o żółwiu.

(Trzymaj język za zębami.)

Na wybrzeżu pewnego jeziora żyły dwie gęsi w serdecznej z żółwiem przyjaźni. Wszyscy troje żyli w nadzwyczajnej zgodzie i nic nie mąciło ich szczęścia. Nastał jednak czas niezmiernych upałów, a jezioro wyschło zupełnie. Poczęły się tedy gęsi naradzać: Wobec tego, że wszelka woda z jeziora wyparowała, przechodzi nasz przyjaciel straszne zapewne cierpienia. Ratujmy go. —

Poczem zwróciły się do żółwia: Przyjacielu nasz, z powodu braku wody skazany jesteś na utratę życia. Uchwyć więc silnie dziobem swoim środek tego drzewca, a poniesiemy cię w okolicę w wodę obfitującą. W czasie lotu jednak staraj się milczeć. —

Następnie wzbiły się z żółwiem wysoko, i leciały z nim ponad wsiami i miastami. Spostrzegli ich wszakże chłopcy mali, a uradowani niezwykłym widokiem poczęli krzyczeć: Patrzajcie — gęsi żółwia niosą! —

Rozgniewały żółwia krzyki te i śmiechy, i zawołał: Cóż was to obchodzi! — przyczem wypuścił z dzioba drzewce, spadł na dół i — umarł.

* * *

O ptaku dwugłowym.

(Chciwy dwa razy traci.)

Na górze Himavat żył swego czasu ptak nazwiskiem Djîvandjîva,[1]) a ciało jego zdobiły dwie głowy. Jedna z nich, pożerając stale owoce wyborowe, dostarczała ciału obojga pokarmu i zdrowia. Druga głowa natomiast, widząc to, uległa nagle zazdrości i rzekła: Ażali nigdy niemam zakosztować smaku wybornych owoców? —

Poczem w nieświadomości swej wzięła owoc trujący i pożarła go. Stąd obie głowy umarły równocześnie.

(Z dzieła: „Tsa-pa'o-thsang-king“ księga III.)

Tłumaczył *Czesław K.*

*) Djîvandjîva (sanskryt) ptak czarodziejski uznany przez buddhaizm.

terytoryum. *Piotr Zryni* ze szwagrem swym *Frankopanan* myśli te za czasów Leopolda I. wprowadzają w czyn, lecz zdradzeni giną na rusztowaniu. Rządy wiedeńskie stają się coraz uciążliwsze. Szlachta chorwacka, chociaż była bardzo samowładna w swych siedzibach, jednak nie miała na tyle siły, aby się oprzeć naporowi zaborczego rządu. Idzie tłumnie w służbę obcych dla zapewnienia własnych przywilejów. Na dworze Maryi Teresy roi się już od Chorwatów. Tam jednak ulegli, w domu są bezwzględni zwłaszcza wobec chłopów. Ucisk chłopów doprowadza ich do otwartego buntu. Rząd austryacki w lot chwyta sposobność nadarzającą się i uśmierzając ten bunt odbiera banom władzę wojskową i prawo mianowania żupanów (naczelników powiatów). Żupani mianowani we Wiedniu znoszą się bezpośrednio ze swoimi mocodawcami, a tym sposobem i władza cywilna zależała już tylko od Wiednia. Józef II. narzuca już Niemców urzędników i uwłaszcza równocześnie włościan chcąc ich pozyskać przeciw szlachcie. Tak ubezwładniona szlachta chce ratować resztki swych przywilejów dotychczasowych przed bezwzględnością rządu austryackiego i za panowania cesarza Leopolda II. uzyskuje zupełną zależność od Węgier. Namiestnikiem mającym prawo mianowania żupanów ma być odtąd Węgier. Austryi łatwo przyszło przystać na to żądanie, bo u Węgrów posiadała już niepodzielne wpływy, więc pewną była i zależności Chorwacyi. Lecz Chorwaci nie wyszli na tem dobrze.

Wśród Węgrów wszczął się już ruch narodowy i obudził się zmysł polityczny uczący ich potrzeby zbudowania swej samodzielności. Żądają też zaraz w sejmie chorwackim wprowadzenia języka węgierskiego.

Oparł się temu wprawdzie zaraz biskup *Verhovacki* i ban *Erdödy*, ale napór madziarski raz wszczęty już się nie cofnął, lecz szedł coraz dalej. Miało to złe jednak i dobre skutki dla Chorwatow. Obudziło przecież w nich poczucie potrzeby oparcia się na własnych siłach, obudziło świadomość narodową.

Przyszły czasy Napoleońskie, dotychczasowe siły i potęgi legły w gruzach. Napoleon z Wiednia dyktował światu prawa, obudzał nowe życie polityczne w tym celu, aby dawni władzcy nie mogli się już poczuć w dotychczasowych siłach. Tworzy też z Dalmacyi, Chorwacyi, Istryi, Krainy, Karyntyi, części Styryi, a więc z słowiańskich dzielnic Habsburskich posiadłości Królestwo Illiryi. Zakłada tam szkoły i pomaga do wzmożenia się handlu i przemysłu. Nic dziwnego, że w Słoweńcach, a szczególnie w Chorwatach obudziła się myśl samodzielności politycznej całej południowej słowiańszczyzny, że chcieli stworzyć z tego nowego królestwa łącznik cywilizacyjny między wschodem Europy, a jej zachodem. Powstaje też pod tą podniętą silny ruch narodowy. Wprawdzie twory Napoleona jak rychło powstawały tak rychło ginęły i Chorwacya z wszystkiemi krajami wymienionemi staje się znowu prowincyą państwa Habsburgów, lecz myśl poruszona nie ginie.

Myśl narodowa, poczucie własnych potrzeb duchowych, zrozumienie prawa naturalnego przysługującego każdej jednostce fizycznej, do samodzielnego życia i rozwoju wśród danych warunków raz zasiana, nie da się żadnymi środkami zabić lub wyplenić.

Między Słowianami południa austryackiego budzi się potrzeba własnej kultury, własnej cywilizacyi. Wszczyna się prowadzony przez wspomnianego już biskupa Verhovackiego, a po jego śmierci przez hr. *Janka Draszkowicza* ruch illirski znaczący to samo, co ruch narodowy. Był on tem konieczniejszy dla Chorwatów, że pod wpływami węgierskiemi szlachta chorwacka dla zachowania swych przywilejów zaczęła się znowu tłumnie madziaryzować. Pod wpływami Draszkowicza, który służąc przy wojsku austryackiem stał w Galicyi, nauczył się po polsku, poznał Polskę i stał się jej wielkim przyjacielem, ruch illirski, przedewszystkiem zwrócił uwagę na wytworzenie własnego języka literackiego. Pod jego wpływem tworzą się literatury chorwacka, słoweńska i serbska i rozwija się rodzima kultura. Pod względem politycznym stał on na gruncie samodzielności, wolny też był od wszystkich zachcianek panslawistycznych. Draszkowicz określił jasno, że wzajemności słowiańskiej stoi na przeszkodzie wiekowy spor między Polską a Rosyą, dwoma głównemi i kierowniczemi szczepami słowiańskiemi. On też spowodował, że do cesarza austryackiego Franciszka Chorwaci słali adresy, aby pośredniczył u Mikołaja I na korzyść Polski. Posłowie chorwaccy jak Ożegorie, Bużan przestrzegali wprost przed Rosyę, która ma na południu zaborcze zamiary.

Lecz ten charakter ruchu illirskiego nie utrzymał się długo. Obawa przed madziarszczyzną z jednej strony a — przed Niemcami z drugiej spowodowała, że późniejszy kierownik jego, *Ludwik Gaj*, oddał go całkiem na usługi Rosyi.

Przyszedł rok prób ciężkich, rok 1848. Węgrzy powstali. Obawa przed ich uciskiem, gdyby odzyskali wolność skłoniła polityków chorwackich, że ulegli szatańskim podszeptom ministrów austryackich obiecujących im wolność za pomoc przeciw Węgrom. *Jeloczica* zamianowano pierwszym banem i pod jego dowództwem idą Chorwaci razem z Moskalami na Węgrów w „obronie dynastyi". Węgrzy upadli, a Chorwatom za ich wierność do dynastyi dostał się od Metternicha w nagrodę najsroższy ucisk niemiecki. Gaj poszedł teraz w służbę niemiecką i wydawał rządowy dziennik niemiecki. Jeloczic bronił się przed zarzutem panslawizmu, służby na korzyść reakcyi i przeciw wolności, bo on chciał wolności dla swego narodu. Zamiary jego mogły być szczere, nie można nawet poddawać w wątpliwość jego obrony, ale nie można także nie powiedzieć, że był krótkowzrocznym politykiem. Stając po stronie Węgier mógł także uzyskać razem z nimi wolność — wszak łączyły ich tylowiekowe stosunki, które mogły być zupełnie dobrze uregulowane; nie wszyscy bowiem za pomoc daną w chwilach przełomowych odpłacają haniebnym uciskiem.

Ten ucisk niemiecki trwa bez najmniejszej ulgi do roku 1860. Od chwili, kiedy Austrya wkroczyła na tory ulg dla ludności i ustępstw w samowładnych rządach, zaczyna się i zmiana dotychczasowych pojęć. W tym czasie zaprowadzają do urzędu język chorwacki. Duch narodowy się dźwiga po długim ucisku i widzi inne światła. Niejasne mrzonki illiryzmu rozwiewają się. Rok 1867 przynosi konstytucyę i łączy Chorwacyę znowu z Węgrami, zapewniając im względną samodzielność. Mają swój sejm, mają płacić pewną kwotę na wspólne potrzeby, mogą się urządzać u siebie w domu według własnej woli.

Możny opiekun południowej słowiańszczyzny nie zasypia jednak własnej sprawy. Powstaje za jego wpływami myśl polityczna „jugoslavena." łączność wszystkich Słowian południowych.

W Zagrzebiu wielki patryota chorwacki biskup *Strossmayer* zakłada w roku 1868 akademię umiejętności, buduje uniwersytet, powstają towarzystwa niosące oświatę i samowiedzę narodową w lud, powstają towarzystwa skupiające ludnoć dla samopomocy ekonomicznej, młodzież garnie się do nauki, wyjeżdża za granicę dla poznania Europy i wytworzenia własnej inteligencyi, słowem rozrost narodu i wzmaganie się jego na wszystkich polach. Wzrasta jednak zręczny napór madziarszczyzny żądnej stworzenia mocnego i spoistego państwa, a bojącej się wpływów ruchu słowiańskiego,

podsycanego z zewnątrz, a i wpływy niemieckie nie całkiem usunięte.

To pobudza polityków chorwackich do tworzenia nowych programów. Opuszczają zatem mgliste marzenia illiryzmu, wzajemności słowiańskiej itp. idealistycznych haseł a stają na gruncie ściśle realnym. Naród mający swą historyę, mający przeszłość państwową, mający zatem prawo historyczne za sobą, nie potrzebuje szukać opieki w około, może się oprzeć na sobie samym, u własnych źródeł szukać siły ożywczej dla swej przyszłości.

Na takim mniej więcej programie powstaje stronnictwo prawa — stranka prava prawasze. Wodzem jej jest najwybitniejszy polityk chorwacki Starczewic. Oparłszy się na starem prawie chorwackiem, dąży do odbudowania państwa chorwackiego. — Nie uznaje Serbów jako osobnego państwa i osobnego narodu, mają bowiem z Chorwatami jeden język a różni ich jedynie wyznanie i pisownia (piszą cyryliką). Stojąc na gruncie własnej siły jest zdecydowanym wrogiem illiryzmu i panslawizmu, nie uznaje stosunko zależności od Węgier, z któremi nie chce mieć nic wspólnego i wskazuje na Austryę jako wspólnego wroga.

Stronnictwo jego rośnie w siłę, walczy ze Strossmeyerem, zdecydowanym przyjacielem Rosyi szukającym u niej opieki przeciw madziarszczyźnie. Niestety namiętność z jaką prowadzą Chorwaci całą swą robotę polityczną, wywołuje bunt chłopski, t. zw. rakowicki. Ofiarą jego pada Starczewic, zamordowany w roku 1874 przez tych, dla których poświęcił wszystkie swe siły.

Młodzież wracająca z Europy do domu przynosi nowe myśli. Postęp nie pozwala na walki narodowe. „Naprednjaki“ (postępowcy) przyjmują stare prawo Starczewicza, ale chcą zgody ze Serbami i są zdecydowanymi Słowianofilami. W następstwie tego trzeźwieją coraz więcej i dochodzą nawet do możności zgody z Węgrami. Nie korzystają z doświadczenia Starczewica, który udowodnił, że złe, trujące życie Chorwacyi, płynie nie tylko od Austryi starającej się zawsze zakłócić jej dobry stosunek do Węgier, ale i od Węgier chcących wykorzystać Chorwacyę do swych samolubnych celów. Prowadząc walkę z „czystymi prawaszami“ zręcznie, doprowadzają stronnictwo do znaczenia, tak że przedstawiciele jego w lutym tego roku zjeżdżają się w Rjece, dokąd mieli także przybyć przedstawiciele koalicyi węgierskiej i postanawiają wspólność działania z nią. Zatrzymują dla swego stronnictwa monopol idei południowo-słowiańskiej i demokratycznej wśród własnego społeczeństwa, chcą reform ustawowych i samodzielnej sytuacyi prawnopaństwowej. Naturalnie, że Starczewicanie przedstawiani są przez nich jako mameluki i skryci pracownicy dla kamaryli wiedeńskiej. Przy wyborach tegorocznych oni wyszli zwycięzko. Za tę przychylność dla Węgier mówił w delegacyach węgierskich pierwszy raz poseł, obrany na podstawie rieckich rezolucyi po chorwacku.

Czy Chorwaci znowu dobrą drogę dla swej polityki obrali, może niedaleka przyszłość pokaże. *B.*

Działalność pierwszego Koła polskiego w Petersburgu.

Warszawa, 5 sierpnia.

Każdy krok pierwszego przedstawicielstwa naszego w Petersburgu zwracał na siebie pilną uwagę całej opinii polskiej. Obecnie, gdy zakończony został 73-dniowy okres działalności posłów naszych w rosyjskiej Izbie państwowej, warto się przyjrzeć całokształtowi prac i wystąpień Koła Polskiego.

W pismach warszawskich się zjawił w tej sprawie jednobrzmiący komunikat, chociaż nie podpisany przez nikogo, jednak robiący wrażenie urzędowego sprawozdania Koła ze swej działalności. Komunikat wylicza wszystkie ważniejsze wystąpienia Koła Polskiego i towarzyszące im okoliczności, mówi o pracach posłów naszych w komisyach oraz wyjaśnia stanowisko grup parlamentarnych rosyjskich wobec naszych dążności narodowych i autonomii Królestwa. Dla czytelników korespondencyi moich są to rzeczy znane, więc nie powtarzam tutaj komunikatu Koła, a ograniczam się tylko na zgrupowaniu ważniejszych jego wystąpień. Przejdą one do historyi, i, śmiem twierdzić, chlubnie zaświadczą o patryotyzmie, rozumie i wyrobieniu politycznem pierwszego przedstawicielstwa naszego.

Pierwszem zbiorowem wystąpieniem było złożenie w dniu 13 maja deklaracyi, zawierającej prawno-polityczne uzasadnienie autonomii Królestwa Polskiego . W ten sposób Koło zaznaczyło wyraźnie odrębność naszą i ze swego stanowiska autonomicznego nie zeszło ani na chwilę podczas całej sesyi parlamentarnej. Świadomość celów i konsekwencya w dążeniu do ich dopięcia spotkały się z gorącem uznaniem polskiej opinii narodowej, a wśród stronnictw rosyjskich zjednały dla Koła powagę i szacunek. Przedstawiciele Koła, zabierając głos w licznych rozprawach i interpelacyach, występowali przeciwko szczególnemu uciskowi naszego kraju oraz bronili energicznie zasad wolności powszechnej, popierając wszelkie przedłożenia wolnościowe.

W komisyach przy opracowywaniu projektów nowych praw członkowie Koła nie zaniedbali nigdy wskazywać na odrębność warunków społecznych i ekonomicznych, w jakich się kraj nasz znajduje. Szczególnie potrzebnem to było podczas długotrwałych obrad nad sprawą reformy rolnej, która się też stała grobem dla Izby. Nad arcyważną tą sprawą obszernie się rozwodziłem w paru korespondencyach.

Ważnem też było wystąpienie Koła w sprawie szkolnej, gdzie głos zabierał cały szereg mówców naszych, interpelacya w sprawie dymisyi 200 nauczycieli ludowych w Królestwie (obecnie przywróconych na swe stanowisko), parę interpelacyi, tyczących się nadużyć administracyi i wreszcie interpelacya i wielka, a znakomita mowa posła Nowodworskiego w kwestyi utrzymywania stanu wojennego w Królestwie. Wreszcie, znanem jest zachowanie się delegacyi Koła na obradach w Wyborgu.

Postępowanie Koła Polskiego w całości uznaje i pochwala opinia narodowa w kraju. Prócz organów stronnictwa Dem. Nar. w Warszawie i na prowincyi: *„Dzwonu Polskiego“*, *„Narodu“*, *„Ziemi Lubelskiej“*, *„Kaliszanina“* inne, bezpartyjne a najwpływowsze dzienniki polskie: *„Kuryer Warszawski“*, *„Gazeta Polska“* godzą się całkowicie na stanowisko Koła. Broni też Koła *„Dziennik powszechny“*, ze swego stanowiska antysemickiego wojujący z organami żydowskiemi czyli postępowo demokratycznemi: *Z dnia na dzień* i *Nową Gazetą*.

Niema obelgi, której by dwa te radykalne blaty nie rzuciły Kołu Polskiemu. Nie mówię już o zarzutach wstecznictwa i antysemityzmu, lojalizmu i ugody. Posłowie polscy są „wrogami ludu“ lub, jak chce któryś z pismaków żydowsko-postępowych, „stronnictwem chłopskiej krzywdy i hańby narodowej“ (za to, że się nie godzą na unarodowienie ziemi). Posłuchajmy jeszcze, co o wyborskiej deklaracyi Koła Polskiego mówi *„Gazeta Nowa“*.

Ma ona za złe posłom Królestwa, że nie podpisali odezwy kadeckiej, nawołującej do niepłacenia podatków rządowi i niedawania rekruta. Ma za złe Kołu, że zaznaczyło raz jeszcze odrębność naszych celów i środków. Nie mówię już o tem, że Koło Polskie nie miało prawa rozstrzygnąć poza parla-

mentem zadań narodu polskiego bez jego uświadomionego udziału. Koło, odmówiwszy podpisów swoich pod deklaracyą wyborską kadetów, uniknęło śmieszności, w jaką wpadli ci ostatni. Niepodobna bowiem przypuszczać, by strejk podatkowy przeprowadzić dał się w społeczeństwie tak słabo zorganizowanem, jak rosyjskie, a nawet i nasze w Królestwie. Niedawno przecież poniósł on fiasko w kulturalnych a uspołecznionych Węgrzech. Potrzeba na to wyjątkowej organizacyi społecznej, jakiej nie posiadamy ani my, ani Rosyanie. Wytrawny polityk z siłami liczyć się musi, a dając hasło do czynu, z góry winien być pewnym jego wykonania. Lecz *„Nowa Gazeta“* pisze:

„Koło Polskie w Wyborgu umyło ręce, jak Piłat. Przedstawiciele Koła raz jeszcze odegrali swoją podwójną rolę i starali się lawirować między dobrą opinią biurokracyi (!), a sympatyą stronnictw, dążących do wyzwolenia Rosyi... Stosowanie się do tego, skąd wiatr wieje, charakteryzowało przez cały czas działalność pierwszego przedstawicielstwa polskiego w parlamencie rosyjskim“...

Minął rok pierwszy istnienia prywatnej szkoły polskiej w Królestwie i młodzież nasza, dla uzyskania praw szkół rządowych, zmuszoną by była po ukończeniu szkoły polskiej, składać ogólny egzamin po rosyjsku w szkołach rządowych. Tak wymagają przepisy rządowe.

Tymczasem oto nadchodzi pomyślna wiadomość, że rada ministrów postanowiła tegorocznym wychowańcom szkół polskich nadać te prawa, jakie zapewnia szkoła rządowa. Aczkolwiek rada postanowiła tę ulgę, jednak jej uchwałę należy uważać za poważny krok w kierunku nadania szkołom prywatnym polskim wogóle praw rządowych.

Bezustanne zamachy i zabójstwa osób urzędowych w Warszawie i na prowincyi (ostatnie zamordowanie w Otwocku generała żandarmeryi Markgrafskiego, pomocnika gen. gub. warszawskiego) zaczynają coraz bardziej przekonywać władze o bezcelowości stanu wojennego. Obecnie radzą nad tem, czy go znieść zupełnie, czy też go wzmocnić i podnieść aż do stanu oblężenia.

W razie, gdyby Stołypinowi udało się pozyskać do gabinetu kilku działaczów społecznych w rodzaju ks. Lwowa, Stachowicza, Szypowa, położenie nasze w Królestwie uległo by zaraz zmianie na lepsze. Osoby te bowiem wśród warunków, postawionych prezesowi ministrów, umieściły — zniesienie wszędzie stanu wojennego i dopuszczenie języków miejscowych do niższych urzędów na kresach. Pogłoski o przystąpieniu do gabinetu kilku działaczów liberalnych są tak samo liczne, jak były niedawno wieści o rychłem uformowaniu gabinetu z kadetów. Jeżeli wierzyć zapewnieniom rządu, rozwiązanie Izby wcale niema oznaczać powrotu do reakcyi i Stołypin ma za zadanie przeprowadzenie reform liberalnych, dzięki którym nowe wybory mogłyby wydać mniej opozycyjne przedstawicielstwo narodowe. Lecz czy można w czemkolwiek wierzyć obecnemu rządowi? Chyba, że bunt wojskowy w Sweaborgu znajdzie odgłos w innych garnizonach i zmusi rząd do nawrócenia z błędnej drogi. *Sarmata.*

Po ruskich strajkach rolnych.

Lwów, 4 sierpnia 1906.

Jaki powód strajków rolnych?

Czytając pisma polskich radykałów, spotykamy się aż nazbyt często z twierdzeniem, twierdzeniem powtarzanem z uporem człowieka, który wie, że broni sprawy niesłusznej, ale bronić ją postanowił za wszelką cenę, że strajków nie wywołała agitacya polityczna. Mają one być według ich zapatrywań wynikiem nadmiernego ucisku i wyzysku, jakiego się na robotniku rolnym dopuszczają właściciele obszarów dworskich. Rusini i socyaliści wskazują wprost na szlachciców, ludowcy mówią o „panach“. Mają bronić złej sprawy a pośrednio tych znienawidzonych szlachciców i panów w sposób kłamliwy i oszczerczy szowinistyczne pisma polskie.

Można by pominąć milczeniem przy wykazaniu, które z tych zapatrywań jest prawdziwem, to, że te t. zw. szowinistyczne pisma podają dla informacyi nagie fakta, pozostawiając ich ocenę czytelnikom. Nie jest winą tych pism, że tych faktów jest tyle, iż wybierają co jaskrawsze i znamienniejsze. Ta mnogość zdarzeń nie jest zresztą niczem nadzwyczajnem w obec tak szeroko rozwiniętej niesumiennej agitacyi. Możnaby np. uważać za zbyt różowe twierdzenie chłopa polskiego, pracującego w zachodn. Galicyi wśród ciężkich warunków, bo na lichej, piaszczystej roli, że zapłatę w postaci 10 lub 9 snopa uważa za dobrą i dostateczną — bo dla niego ziarno zdobyte na ziemi ciężką pracą ma zawsze wysoką cenę.

Można powiedzieć, że partya staroruska (moskalofile) zwalczająca strajki jako przynoszące krzywdę i szkodę ludowi, czyni to jedynie z nienawiści do partyi narodowieckiej. Można wytłómaczyć licznie stwierdzoną niechęć ludu ruskiego, ulegającego według własnych zeznań przymusowi agitacyjnemu, do stawiania zbyt wygórowanych żądań, jak np. 7 snopa, lub wynagrodzenia 3 koron (2 i pół marki) bez względu na jakość roboty tem, że nie zdaje on sobie sprawy z ogólnie podniesionych w kraju warunków życia.

Można również nie uznawać za dowód na korzyść strajku politycznego i usprawiedliwić fakt, że w ruchu strajkowym brali udział przeważnie gospodarze potrzebujący sami najemnika, zatem zupełnie nieinteresowani w podniesieniu stopy zarobkowej, bo zniewoleni do tego byli przymusem agitacyjnym i namiętnością wywołaną tą agitacyą obejmującą szerokie masy. A okoliczność to nie drobna, bo w jednym procesie mużyłowskim przeprowadzonym z powodu zaburzeń strajkowych wykazano, że na 70 oskarżonych było 16 najemników a reszta sami zamożni gospodarze.

Wszystkie te wyliczone przykłady jakkolwiek wykazują niezbicie, że strajki nie były przynajmniej w zupełności wynikiem doznawanych krzywd ekonomicznych, to przecież dadzą się usprawiedliwić i przynajmniej częściowo do tego powodu sprowadzić.

Jeżeliby jednak te krzywdy ekonomiczne i bieda panująca między ludem ruskim, a jest ona rzeczywiście wielka, była powodem tego ruchu, to powinnibyśmy się spotkać z równolegle prowadzonym ruchem samopomocnym i oświatowym. Niestety znajdujemy coś wręcz przeciwnego, bo pewne usiłowania organizacyi społecznej rozpoczętej jedynie w sferach inteligentnych dla ich własnej korzyści. Zakładają t. zw. „Narodne tarhowle“ — rodzaj udziałowych sklepów — utrzymywane po większych miastach przez zamożnych księży, adwokatów, lekarzy, urzędników itp. Fundują wspaniałe instytucye wychowawcze dla dziewcząt, zakładają różne oszczędnościowe instytucye pieniężne, utrzymują nawet liczne bursy włościańskie dla biednej uczącej się młodzieży włościańskiej. Wszystko to razem ze szkołami średniemi ruskiemi ma dać duży procent inteligencyi ruskiej i być dowodem wyrobienia społecznego całego narodu. Natomiast osiadły włościanin zostawiony jest sobie samemu bez opieki i oświaty. Brak towarzystw dla podniesienia sprawności gospodarczej jakiemi są np. polskie kółka rolnicze, brak szkół gospodarczych, bo od polskich ludność ruska stroni, z biedą nakłaniać się daje ludność wiejska ruska

do zakładania kas Reiffeisena a czytelnie wiejskie służą stale za miejsce dla agitacyi politycznej. Jedyną pomoc znajduje chłop ruski u swych opiekunów w organizowaniu eksportu sił ludzkich jak wysełka zarobników do Niemiec i emigracya amerykańska, na której to operacyi robią świetne interesa kierownicy biur — ruscy księża.

Powodem zatem strajków jest wyłącznie polityczna agitacya, a za pretekst służy im rzeczywiście miejscami zdarzający się wyzysk robotników rolnych.

Dowodów na to dostarcza samo kierownictwo narodnego komitetu w kilku tajnych okólnikach. W jednym z nich z kwietnia br. wzywa ten komitet do generalnego strajku politycznego jako narzędzia walki za reformą wyborczą. Miałby on objąć wszystkie powiaty ruskie w Galicyi i miałby mieć charakter i cel polityczny. Pomimo, że akcya ta się nie udała i że dla organizowania dalszej przyszły niepomyślne sprawozdania z powiatów, zapowiada ten komitet „celem zamanifestowania niezadowolenia i krzywd naszego ludu bezzwłocznie generalny strajk w czasie tegorocznych żniw''. Gdyby już nic innego nie było, to te dokumenta niezaprzeczone ze strony ruskiej stanowią dowód zupełny. Dowód ten uzupełniają liczne zeznania w procesach i tysiączne mowy na wiecach.

Cóż jednak prze tych ludzi do takiej gwałtownej akcyi przeciwpolskiej? Obecnie reforma wyborcza i chęć zapewnienia sobie z niej jak największych korzyści. To jest najbliższy konkretny cel ruskiej polityki. Są jednak i głębsze powody, które nie dadzą się usunąć żadną robioną zgodą w gabinetach ani na publicznych wiecach odbywanych przy współudziale ludu na placach publicznych. Musimy się pogodzić z tym faktem, że sprawa polsko ruska stanęła na tym punkcie wzajemnego rozwoju, iż nie można już mówić o jakimś zatargu wynikłym z nieporozumień warstw wyższych, które wyrówna lud, lecz przyjąć trzeba tylko wojnę, jako jedyny wyraz określający prawdziwie ten stosunek. Obydwie strony odczuły, że trzeba usilnej pracy około tego ludu, który może stoczy ze sobą bój rozstrzygający, a może znajdzie się obok siebie w zgodzie, jeżeli powody walki ustaną.

Powodem tej walki: zdobycie dla siebie jak największych warunków do życia. W kraju, gdzie jedynem źródłem życia jest plon z ziemi zdobyty, przedmiotem walki jest posiadanie ziemi. Nie rozwięzujemy tutaj t. zw. kwestyi agrarnej za pomocą znanych dziś podstaw naukowych, nie doprowadzi to nas bowiem do niczego. Pierwszy tylko fakt, że przeciętny obszar gospodarstwa chłopskiego w Galicyi wynosi 4.4 morgów (2.5 hektara) a jest on jeszcze mniejszy w Galicyi wschodniej. Wyrównuje się ta różnica znacznie większą urodzajnością ziemi podolskiej, powiększa się jednak znowu przez to, że dużo ziemi chłopskiej skupiło się dzisiaj w rękach handlarzy żydów skupujących ją od emigrantów do Ameryki, którzy w ten sposób uzyskują gotówkę na drogę. Z żydami współzawodniczą w tym handlu księża ruscy mający liczne rodziny do wyposażenia. Zmniejsza się w ten sposób własność chłopska na korzyść średnich około 100 morgowych gospodarstw wiejskich nie zostających w rękach chłopskich. Tym włościanom, którzy zdobywają gotówkę czy to w kraju, czy po za jego granicami, stoi na przeszkodzie w nabyciu ziemi to, iż dotychczasowi właściciele niechętnie się jej pozbywają. Przeważną jej część mają w swem ręku właściciele dużych obszarów, szlachta przedewszystkiem. Skutkiem tego ma na terenie strajkowym zaledwie $^1/_6$ część rodzin utrzymanie ze ziemi a $^5/_6$ musi szukać ubocznego zarobku. Gdzież ten zarobek znaleść? Na sąsiednim obszarze dworskim. Tymczasem ten obszar w przeważnej części puszczony w dzierżawę żydom za wysoki czynsz (do 25 zł. czyli 42 marki z morga). Dzierżawca płacący tak wysoki czynsz musi przy niskiej stosunkowo cenie zboża odbijać na taniej administracyi i niskiej cenie robocizny. Cała zatem gospodarka większa staje się tym sposobem przedsiębiorstwem kapitalistycznem. Te zatem stosunki wytwarzają właściwe powody do szerzenia haseł o krzywdzie i do walki.

Niezaspokojony głód ziemi da się usunąć przez stopniową parcelacyę. Musi w niej jednak wziąć udział i chłop polski, bo i on ma prawo do życia. Zatem hasło, że to ziemia ruska i w ruskie ręce przejść winna musi być przez Polaków bezwzględnie zwalczana.

Przejście tej ziemi z rąk dotychczasowych w inne musi nastąpić w sposób naturalny i bez przymusu, tak aby nie stało się w istocie czyjąś krzywdą. Zatem drugie hasło ruskie: strajkiem i bojkotem może naród ruski stać się właścicielem całej ziemi w kraju, musi być również bezwzględnie zwalczane. Załatwienie tej sprawy usunie powód walki dzisiejszej. Usunie ją i na przyszłość, bo rozwijanie się kultury w ludzie ruskim zmniejszy znacznie jego dotychczasową namiętność. Sprawę tę może załatwić jednak tylko społeczeństwo polskie. Powołane ono do tego jako dotychczasowy właściciel i jako dające gwarancyę postępowania sprawiedliwego. Po uspokojeniu się dotychczasowych burz przystąpi ono do tej czynności z całą świadomością swej odpowiedzialności za przyszłość własną i za przyszłość ludu związanego z niem wiekowem wspólnem życiem, choćby przewodnicy tego ludu nazywali to wielką jego krzywdą.

Czy Rusini ponoszą krzywdę od Polaków w Galicyi? *Bes.*

Tydzień polityczny.

Jest przysłowie polskie, które każe każdemu „wymiatać śmieci przed własnym domem, zanim rozpocznie je wymiatać przed obcym.''

I w tem przysłowiu tkwi wielka i święta prawda. Tę prawdę musimy teraz szczególnie przypomnieć hakatystom i wszelkiego rodzaju wrogom naszym wśród narodu niemieckiego: wymiatajcie najpierw przed własnym domem śmieci.

Hakatyści to bowiem, a za nimi jak pacierz za panią matką dzieci, powtarzają nieraz najwyżsi urzędnicy przeciwko nam Polakom zarzuty, że kiedyś tam w Polsce za dziadów i pradziadów źle było, że, ponieważ Polska rządzić się nie umiała, trzeba było Polakom odebrać niepodległość, i że tak samo źle będzie, jeżeliby kiedykolwiek nowa Polska powstała. Zatem do tej niepodległości Polski nie ma co tęsknić.

Polska rządzić się nie umiała, dla tego trzeba ją było rzekomo rozebrać. W ostatnim zaś czasie wykazały Niemcy, że rządzić się nie umieją, czy może dla tego zaraz sąsiedzi mają wkroczyć z wojskiem w granice Prus, i rozebrać je?

To co innego — powiedzą Niemcy! Nie — to nic innego, tylko to jest prawda, że Niemcy dosyć mają do wymiatania przed własnym domem, zanimby mogli rościć sobie choć odrobinę pretensyi do robienia zarzutu Polakom za ich przeszłość.

Wara im do tego! Wara im — niech rozejrzą się w Berlinie, niech idą za morze — niech wymiatają własne śmieci.

Nie tak przecież dawno — pamiątki agitacyi za flotą zdobią jeszcze dworce niektóre — jak z „najwyższej strony'' rozpoczęto agitacyę za marynarką. Najwyżsi dostojnicy państwowi przypominali narodowi niemieckiemu, że przyszłość jego „leży na morzu''. —

Nie tak to dawno, jak przez Niemcy całe rozbrzmiewało szumne pytanie: czy mają prowadzić politykę światową? —

I nie tak to dawno, jak w imię przyszłości, jak ze względu na wielkość Niemiec rząd żądał milionowych funduszy na — kolonie!

Aha — powiecie — mowa tu o skandalach kolonialnych, o użyciu, a raczej nadużyciu tych milionów, mowa o Puttkamerach, Fischerach, Hornach itp.

Dziś już szereg tych panów „gubernatorów“ idzie w nieskończoność Wszyscy oni albo „cywilizowali“ murzynów wieszając ich żywcem, katując lub strzelając do nich, jak się strzela na polowaniu do kuropatw, kaczek lub kotów — albo w Berlinie kazali sobie „pożyczać“ różne sumki, wcale pokaźne i okrągłe, za przyjmowanie dostaw bez kontroli.

Szczegóły kolonialnej gospodarki są wprost skandaliczne, tem więcej skandaliczne, że długo ukrywane przez władze kierownicze.

Nie dziw, że te władze, gdy obecnie nadużycia te udało się w części wykryć, zaklęcie milczą. Nie dziw — każde bowiem słowo ich, o ileby odpowiadało prawdzie, tylko gorzej jeszcze pogrążyćby musiało — gospodarkę kolonialną Niemiec.

Co nas tylko dziwi, że parlament niemiecki pozwala się wciąż dużyć zapowiedziami wielkich zysków kolonialnych.

Zapewne — te zyski mają dotąd ci, którzy zręcznie umieli wyzyskać położenie na swoją korzyść — ale nie rząd i nie społeczeństwo niemieckie.

. . . .

Na 16 sierpnia, według innych wiadomości na 15 zapowiedziane są odwiedziny króla angielskiego *Edwarda VII* u cesarza niemieckiego Wilhelma II w Homburgu.

Niemcy o odwiedzinach tych rok przeszło tyle robią krzyku, jakby się zdawało, że będą one mieć na ukształtowanie stosunku Anglii do Niemiec pierwszorzędne znaczenie.

Tymczasem chłodniejsi nie przypisują odwiedzinom tym nawet tyle znaczenia, żeby zatrzeć one miały nieporozumienie istniejące pomiędzy rodzinami samych panujących.

Jeżeli tak jest — a nie ma powodu temu niewierzyć — to tem mniej odwiedzinom tym przypisać można znaczenia w polityce.

. . . .

W Rosyi jest rząd — a właściwie go nie ma. *Stołypin* nie zdołał dotąd nawet gabinetu utworzyć. Dowodzi to, że zamiary jego kierowania skołataną nawą rządu rosyjskiego w myśl dążeń liberalnych — spełzły na niczem. Reakcya widocznie zbyt jest silna. Dziwić wobec tego musi, że pogłoski o powrocie Wittego do władzy powtarzają się uporczywie.

Pozatem nie ustają bunty, mordy i walki stronnicze...

Ruch w Towarzystwach.

Poznań. Dowiadujemy się, że Tow. Śpiewu *„Halka“ w Jeżycach* otrzymawszy policyjne pozwolenie, urządza w niedzielę, dnia 12 b. m. w Urbanowie (ogrodzie p. Kuczyńskiego) *wielki wieniec* ze współudziałem mniej więcej 100 osób. Na wieniec ten zwracamy uwagę Szan. publiczności miasta Poznania, przedmieść i okolicy. Program bardzo obfity i urozmaicony; a szczególnie zwracamy uwagę na krakowianki, krakowiaków, tabor cygański, oprowadzanie niedźwiedzi, muzykę wiejską, żydów i wiele innych jeszcze nie bywałych nowości. Koncertować będzie orkiestra Kółka muzycznego. Tak Zarząd jak i Komisya Tow. nie szczędzi kosztów i mozołu, aby wykonać coś coby zyskało zupełne uznanie Szan. publiczności i aby pobyt jej w pięknym ogrodzie „Urbanowie“ najbardziej uprzyjemnić.

Mamy też niezłomną nadzieję, że nasza publiczność poprze te usiłowania i podąży tłumnie w niedzielę dnia 12-go b. m. do „Urbanowa,“ a materyalne poparcie, jakie „Halka“ zyska będzie podwaliną do dalszego istnienia i rozwoju tak wzniosłe cele mającego Tow. Bliższe szczegóły podadzą afisze.

Baczność w niedzielę 12-go b. m. „Wielki Wieniec“ w Urbanowie.

V. Zlot Sokołów śląskich. V. Zlot okręgu VI. (śląskiego) Sokołów Polskich w państwie niemieckiem ze współudziałem Sokołów okręgu krakowskiego i Sokołów z Zagłębia Dąbrowskiego w Królestwie Polskiem odbędzie się w niedzielę, dnia 19-go sierpnia 1906 r. w Oświęcimiu (w Galicyi) z okazyi festynu, który urządza „Sokół“ oświęcimski.

Program: O godz. 6-tej minut 8 rano (z Katowic): obowiązkowy wyjazd druhów ćwiczących. — O godz. pół do 9-tej pochód uroczysty z orkiestrą Sokoła krakowskiego do kościoła. — O godzinie 9-tej: nabożeństwo uroczyste w kościele parafialnym. — O godz. 10-tej: pochód przed ratusz; powitanie Sokołów przez reprezentacyę miasta. — Następnie pochód na boisko, gdzie odbędą się zawody jednostek i próba ćwiczeń. — O godz. 1-szej po południu wspólny obiad na sali hotelu Herza (nakrycie 60 centów — 1,10 mrk. — 50 kop.) — O godz. 3-ciej: zbiórka na boisku. — O godz. pół do 4-tej ćwiczenia: 1) ćwiczenia wolne (Sokołów śląskich); 2) ćwiczenia maczugami (Sokołów okręgu krakowskiego); 3) ćwiczenia laskami (Sokołów śląskich); 4) ćwiczenia wolne (Sokołów z Królestwa Polskiego); 5) ćwiczenia na sprzętach (wspólne); 6) ćwiczenia lancami (Sokołów śląskich); 7) piramidy (wykonane przez Sokołów okręgu krakowskiego). W przerwach występy koła śpiewackiego w Oświęcimiu. — O godz. 8-mej wieczorem: ogłoszenie zwycięzców i rozdanie nagród. — Oficyalne pożegnanie. — Ognie sztuczne. — Zabawa na sali.

Wstęp na boisko: miejsca siedzące po 1 koronie (90 fen. — 45 kop.) i po 70 hal. (60 fen. — 30 kop.); miejsce do stania 40 hal. (40 fen. — 20 kop.)

Na powyższą uroczystość zapraszamy serdecznie wszystkich przyjaciół i zwolenników wzniosłej idei sokolej. — Czołem!

Wydział
okręgu VI. (śląskiego) Sokołów Polskich w państwie niemieckiem.

Dr. Zygmund Seyda, prezes. *Antoni Wolski*, naczelnik.
Józef Bartosiewicz, zast. prezesa. *Juliusz Howaniec*, zast. naczelnika.
Adolf Ligoń, skarbnik. *Józef Goncerzewicz*, sekretarz.

Mogilno. Zjazd Towarzystw Przemysłowych okręgu Inowrocławskiego odbędzie się dnia 12-go sierpnia w Mogilnie na sali w parku miejskim z następującym programem:

1. Msza św. o godzinie 9-tej rano w kościele Farnym, poczem zwiedzenie kościołów.
2. O godzinie 12-tej w południe powitanie i zapoznanie się i wspólne śniadanie w cukierni pana Kamińskiego.
3. Zebranie plenarne o godzinie 2-giej po południu w parku miejskim.

Porządek obrad:

1. Zagajenie.
2. Sprawozdanie z posiedzenia prezesów okręgowych.
3. Wykład Imć. ks. prałata Wawrzyniaka: „Kredyt jako podstawa przemysłu.“
4. Wykład ks. Prądzyńskiego ze Strzelna: „Dalsze widnokręgi dla naszych Towarzystw Przemysłowych.“
5. Referat p. K. Mizgalskiego z Poznania: „Zabezpieczenie członków Towarzystw Przemysłowych we Weście.“
6. Wnioski i uchwały.
7. Wolne głosy.
8. Zamknięcie posiedzenia zjazdu.

Zarząd.
Ign. Kornaszewski, prez. okręgowy. *Fran. Śledziński*, sekr. okręgowy.

Gniezno: Towarzystwo Samopomocy (męskie), które pod kierownictwem p. dr. Szafarkiewicza znakomicie się rozwija, urządza, jak się dowiadujemy, 19 b. m. zabawę latową, z której dochód przeznaczony jest na zakupno książek itd. Towarzystwo to zasługuje na gorące poparcie ogółu.

Wiadomości.

* **Naśladowania godne zobowiązanie** wzięło na siebie — jak pisze „Lech“ — duchowieństwo dekanatu gnieźnieńskiego, mianowicie nie zjeżdżać się licznie na pogrzeby sprzedawczyków. Postanowienie to nazywamy godnem naśladowania, bo przykład księży, którzy ewentualnie w mowach żałobnych sławią cnoty sprzedawczyków i licznem stawieniem się pogrzeb ich uświetniają, szerzy wśród ludu najgorszą demoralizacyą.

Taką, bardzo wymowną odpowiedź dało duchowieństwo na wygłoszoną mowę pochwalną na jego cześć — przez sprzedawczyka p. dr. J. Zychlińskiego, dawniej w Modliszewie.

* **Nowy skandal.** Jeszcze nie koniec skandalu kościańskiego, a tu już „Lech“ donosi, że taki sam skandaliczny wypadek sprzedawczykostwa zaszedł w Poznaniu. Popełniła go nie żadna inna instytucya, lecz „Spółka Rolników Parcelacyjna“, która dotąd z pośród wszystkich banków parcelacyjnych jeszcze najlepszą cieszyła się — opinią. Ciekawość jak Spółka Parcelacyjna wytłomaczy się wobec tego ciężkiego zarzutu.

* **Czy to „nowi kolonizatorzy“?** „Dziennik Poznański“ przestrzega przed firmą „*von Jastrzembski et Co.*, Berlin W. 50 Kurfürstendamm 16 — Getreideexport. Firma ta rozsyła do polskich właścicieli majątków zawiadomienie, że niejacyś pp. v. Januszkiewicz i v. Jaworski dali jej zlecenia kupienia dla nich majątku w W. Ks. Poznańskiem. Firma prosi, ażeby jeżeli „znaczniejszą“ chce osięgnąć cenę za swój majątek, się do niej zgłosił. Firma ta jest nieznana i budzi podejrzenie, że nie chodzi jej o kupno — dla Polaków. Wiadomo, że różni ludzie „dla prowizyi“ pozwalają nazwiska swego do różnych pod względem narodowym nie bardzo czystych używać „interesów“. Czy tak być nie może z owymi dwoma panami „von“ J. i firmą również „J.“...?

* **Dola redaktorów polskich.** Poznańska izba karna skazała we wtorek redaktora „Wielkopolanina“ p. Szmyta na 100 marek kary za rzekomą obrazę sołtysa — a p. Słupskiego, wydawcę „Komara,“ na 300 marek za napiętnowanie sprzedawczykostwa.

* **Na cel dobroczynny!** W niedzielę, dnia 26-go sierpnia urządza Towarzystwo Pań św. Wincentego a Paulo w parafii archikatedralnej zabawę na rzecz ubogich tejże parafii. Towarzystwo walczyć musi z rozmaitemi trudnościami. Nędza materyalna w tej dzielnicy idzie w parze z moralną, i gdyby Towarzystwo odpowiedniemi środkami pracować mogło, niejednemu złemu zapobiedzby zdołało.

Zima się zbliża a kasa pusta, przeto zwracamy się z usilną prośbą do szanownej publiczności, żeby raczyła nam dopomódz, przesyłając datki na cel powyższy, bądź to w przedmiotach do gry fantowej, bądź to datkami pieniężnemi, a jeśli możliwe, żywym inwentarzem nadającym się do licytacyi, coby nam mogło przysporzyć dochodów.

Mamy nadzieję, iż szanowna publiczność przychylić się raczy do naszej prośby. „Błogosławieni miłosierni albowiem oni miłosierdzia dostąpią“.

Wszelkie datki prosimy przesyłać na ręce Sióstr Miłosierdzia, ulica Filipińska. *Zarząd.*

* **W Żninie** istnieje obok polskiej spółki pożyczkowej także i — niemiecka. Do tej niemieckiej spółki należy na 1100 udziałowców aż — 800 Polaków. W sobotę odbyły się wybory do zarządu. Dyrektorem wybrano aptekarza — Niemca p. Legalę. Na urząd ten wyznaczona jest pensya 4000 mk. Dzięki istotnej głupocie Polaków — 4000 mrk. pobierać będzie przez długie lata Niemiec.

Podobne stosunki panują także po innych miastach Księstwa — n. p. w Kościanie itd.

1 **W Inowrocławiu** odbyło się dnia 25-go lipca 1906 roku roczne walne zebranie Tow. „Samopomocy Naukowej“. Zebranie zagaił prezes p. Pluta, powitaniem licznie zebranych członków i obecnych gości. Po przeczytaniu porządku obrad przystąpiono do wyboru przewodniczącego walnego zebrania. Jednogłośnie wybrano pp.: K. Lipczyńskiego przewodniczącym, M. Półczyńskiego zastępcą, W. Zaidlewicza sekretarzem, Krużyńskiego i Wolskiego ławnikami. Następnie przeczytano 2 protokóły, z posiedzenia zwyczajnego i zarządu. Ze sprawozdania wynika, że Towarzystwo istnieje już trzeci rok, liczy członków 51 i abonuje „Polskę“, „Przegląd Kupiecki“ i „Przemysłowca“. Posiedzeń zarządu odbyło się 8 i 3 komisyi zabawowej(!), zebrań zwyczajnych Towarzystwa 47, a walnych 2. Odczytów wygłoszono 16, wykładów 22, deklamacyi 35. Urządzono 2 zabawy z przedstawieniem amatorskiem, śpiewami i deklamacyami, oraz 2 publiczne odczyty i 1 wieczornicę. Dochodu w ubiegłym roku było marek 755,78, rozchodu marek 729,14, a zatem pozostaje w kasie marek 26,64. Po udzieleniu zarządowi pokwitowania i odczytaniu spisu członków nastąpił wybór nowego Zarządu i większością głosów kartkami zostali wybrani panowie: A. Pluta prezesem, M. Półczyński, zastępcą, Józef Kaczmarek sekretarzem, M. Filisiewicz skarbnikiem, Stanisław Nowicki, bibliotekarzem. Jako gospodarza w miejsce 2 ławników wybrano jednogłośnie p. Matuszkiewicza. Dla spóźnionej pory wypadł odczyt p. Pluty: „Historyczny opis Inowrocławia“. Deklamacye: „Cześć nauce“ wygłosił p. Roman Wieczorkiewicz, „Do młodzieży“ p. Kaczmarek, „Hej! odłogiem leży nasza rola“ p. Filisiewicz. Przy wnioskach poruszono sprawę wycieczki naukowej do Torunia — oraz oznak dla Towarzystwa. Odnośne sprawy mają być na następnem posiedzeniu załatwione. W skrzynce zapytań znajdowało się 5 kartek z stósownemi zapytaniami, na co odpowiedziano. Okrzykiem: „Cześć nauce!“ zakończono zebranie, które trwało półczwartej godziny i było bardzo ożywione i pouczające.

Z powyższego sprawozdania przekonać się można, że Towarzystwo Samopomocy stara się o pouczanie i rozrywkę dla członków. Odczyty i wykłady pogłębiają wiedzę. To też młodzież wszelkiego zawodu (a osobliwie ci, którzy do żadnego towarzystwa nie należą) powinni wstępować do Tow. „Samopomocy“ i powiększyć szeregi chętnie kształcącej się młodzieży, która w szczupłej liczbie założyła przed 2 laty Towarzystwo liczące dziś przeszło 50 członków.

Korzystaj więc, luba młodzi,
Z czasu, co rychło uchodzi,
Dni wieku twojego złote
Zbogać w naukę i cnote.
Cześć nauce!

Wł. Zaidlewicz.
sekretarz Walnego zebrania.

* **Gostyń.** Dnia 29-go lipca b. r. odbył się Zjazd Kół śpiewackich, okręgu kościańsko-leszczyńsko-gostyńskiego. Za liczny udział składa niniejszem podziękowanie Szanownemu Obywatelstwu miasta Gostynia i za piękne ubranie domów i ulic; panu hr. Żółtowskiemu z Godurowa, J. W. pani Potworowskiej z Goli, J. W panu Kurnatowskiemu z Dusiny, W. panom Danielom z Brzezia i Wpanu Dabińskiemu za udzieloną zieleń z lasów swych.

Wielebnym Księżom Dobrodziejom ks. prob. E. Jackowskiemu i ks. prob. Z. Zakrzewskiemu za łaskawe wzięcie udziału i ocenienie śpiewu, Towarzystwom miejscowym, Przemysłowców, Rzemieślników i Sokołów oraz Kołom śpiewackim pozaokręgowym w Środzie i Golejewku i delegacyi z Berlina, Poznania, Jarocina i t. d. zarazem Kołom okręgowym, panu Polaszykowi za ofiarne urządzenie estrady.

Koło śpiewackie w Gostyniu.

* **W Toruniu** odbył się ub. niedzieli wiec Polek nadzwyczaj ożywiony. Przyjęto na nim po obszernej dyskusyi następującą rezolucyę:

„Polki, zgromadzone dnia 5-go sierpnia 1906 r. na wiecu w Toruniu oświadczają:

I. Za pierwszy nasz obowiązek uważać będziemy troskę o wychowanie dzieci w duchu katolickim i polskim. Dla tego uczyć będziemy dzieci nasze polskiego czytania i pisania, polskiego katechizmu i śpiewu.

II. Wiedząc, jak szkodliwe jest pijaństwo i karciarstwo, ostrzegać będziemy przed tymi nałogami naszych mężów i braci, a przedewszystkiem czuwać będziemy, by dziatki nasze nie zakosztowały alkoholu, ani gry w karty. Zakładanie kółek abstynentów uważamy za pożądane.

III. Zważywszy, że oświata przyczynia się do podniesienia moralności i dobrobytu, popierać będziemy naszych mężów, braci i synów w pracy oświatowej, zachęcając ich do udziału w polskich towarzystwach i związkach i do pilnego czytania polskich książek i gazet. Będziemy także pracowały nad własną oświatą, aby pod tym względem nie ustępować mężczyznom.“ — Brawo!

* **W Katowicach** (na G. Śląsku) odbył się wiec zwołany przez Zarząd „Związku Wzajemnej Pomocy.“ Wiec ten zgromadził całe rzesze robotników. Chodziło bowiem o ważną reformę związku, mianowicie o to: czy podwyższyć składki dotychczasowe czy nie. Ogromna większość obecnych zgodziła się na podwyższenie składek w tem przekonaniu, że Związek musi rozporządzać większym kapitałem, jeżeli chce i ma rzeczywiście naprawić smutne stosunki robotnicze na Górnym Śląsku. — Tak więc i Związek Wzajemnej Pomocy przeprowadził w swem łonie taką samą ważną reformę, jaka istnieje i w Związku zaw. polskim w Poznaniu i w Zjednoczeniu.

* **Na Łużycach** powstały w niedzielę 2 gniazda sokole: w *Rauno* i w *Neu-Welzow*. Przy założeniu w Rauno byli obecni druhowie ze Złokomorowa z prezesem d. Janem Kaczmarkiem na czele, z Berlina naczelnik okręgu V. d. Julian Lange; prezesem został druh Stanisław Smól. Założenie w Neu-Welzow nastąpiło w obecności druhów z gniazda Kl. Räschen pod przewodnictwem prezesa d. Leonarda Zielonackiego i d.d. Borowicza i Jarosza z

Berlina. Prezesem został d. Cezary *Dużyński*. Czołem!

* **Z Krakowa** otrzymujemy następującą odezwę: *Gospodarka socyalistów* daje się gorzko we znaki robotnikom, hołdującym szczerze zasadom katolickim i narodowym. Narażeni nietylko na ciągłe przykrości, ale częstokroć pozbawieni chleba, stają się ze swoimi rodzinami łupem największego wyzysku nędzy. Chcąc tym biedakom przyjść z pomocą, „Związek katol. Stowarzyszeń rzemieślników i robotn." w Krakowie powziął myśl utworzenia funduszu żelaznego, któregoby odsetki posłużyły jako wsparcie czy to w formie bezprocentowej pożyczki, czy darowizny dla potrzebujących. To też „Związek kat. Stowarzyszeń rzem. i rob." ufa, że społeczeństwo ożywione gorącą miłością bliźniego, czego złożyło dowody, popierając liczne instytucye humanitarne, i teraz nie odmówi pomocy. W mieście tak ludnem, tak rdzennie katolickiem i polskiem jak Kraków, znajdzie się z pewnością znaczniejszy procent osób, które bez wielkiego uszczerbku dla siebie, złożą jeżeli nie większe kwoty, to kilkuhalerzowe datki, które prosimy nadsyłać pod adresem: „Związek kat. Stow. rzem. i rob." w Krakowie, plac Maryacki l. 2, do Administracyi „Postępu" w Krakowie.

* **W Szczecinie** na Pomorzu odbył się wobec 300 rodaków i rodaczek wiec „Straży". Cele i zadania tejże wyjaśniał p. K. Rzepecki. Z zapału, jaki mowa jego wywołała, skorzystał pan Krysiak, starosta „Straży" na Berlin i okolicę nawołując do licznego wstępowania do „Straży". Apel ten nie pozostał bez skutku. 65 wiecowników wypełniło kartki kandydackie i wpłaciło składki. Oby ten początek dobrą był zapowiedzią na przyszłość. Czuj duch.

* **W Poczdamie** odbędzie się dnia 26-go sierpnia o godzinie 12 w południe na sali hotelu Thüringer-Hof przy Waisenstr. nr. 4 wiec polityczny, na którym między innymi przemawiać będzie także poseł dr. Alfred Chłapowski z Bonikowa.

* **W Kościerzynie** (na Kaszubach) odbędzie się w środę, dnia 15-go sierpnia o godzinie 2 po południu w lokalu p. Turskiego zebranie delegatów „Towarzystw Ludowych" z Prus Zachodnich. Zebranie to zwołuje patron, towarzystw ks. dr. Thokarski z Szubków.

* **Chleb dla swoich.** (Ogłoszenie VIII. z dnia 4-go sierpnia 1906). Następujący rodacy, dzielni w swym zawodzie znajdą chleb między swoimi:

1) Adwokat (miasto ma 75 tys. mieszkańców), 2) lekarz (od 1. X. b. r., zapewnione 1500 mrk. rocznie z okolicznych dominii), 3) lekarz (w powiat. mieście W. Ks. Poznańskiego), 4) lekarz (na Górnym Śląsku, korzystna posada), 5) 2 zegarmistrzów, 6) 2 blachnierzy, 7) budowniczy, 8) samodzielny kołodziej (stelmach), 9) krawiec, 10) ślusarz, 11) kowal, 12) golarz, 13) piekarz, 14) rzeźnik, 15) pomocnik w handlu żelaza, 16) 4 czeladzi stolarskiej na budowlę, 17) kilku muzyków dla polskiej kapeli, 18) uczeń do księgarni (z wykształceniem wyższej tercyi).

Bliższych informacyi udzieli Biuro „Straży" Piekary 13 II.

Adres dr. Tadeusz Jaworski, Poznań. Posen. — Uprasza się załączyć znaczek na odpowiedź.

* **Młoda akuszerka**, która przez lat 7 pełniła obowiązki akuszerki obwodowej na prowincyi i dzięki intrygom lekarza-hakatysty utraciła to stanowisko, prosi Szanowną Publiczność o łaskawe wskazanie takiej miejscowości, w którejby z korzyścią praktykę swą prowadzić mogla. Adres akuszerki wskaże Ekspedycya „Pracy".

* **Pan dr. I. Chrzanowski**, specyalista w chorobach kobiecych i położnictwie wrócił z podróży. Przyjmuje od godziny 10 do 12 przed południem i od godziny 4 do 5 po południu przy ulicy św. Marcina 45.

* **Węgiel jaworznicki w Poznańskiem.** Stała zwyżka cen węgla pruskiego spowodowała ciekawy zwrot w stosunkach zbytu węgla. Zamiast importować węgiel z Prus do Galicyi — zaczynają obecnie wywozić galicyjski węgiel do Prus. W szczególności ma to miejsce od pewnego czasu co do węgla kopalni w Jaworznie, który po wypróbowaniu kilkodniowem w fabryce H. Cegielski, Towarzystwo akcyjne w Poznaniu, ma zbyt do Wielkiego Księstwa Poznańskiego, Prus Wschodnich, Zachodnich i Pomorza. *Wyłączne zastępstwo węgla jaworznickiego w tych dzielnicach objęła agencya handlowa W. Brzeskiego w Poznaniu (ul. Strzelecka nr. 31) i uzyskała obecnie znaczną ilość zamówień.* W ostatnich kilku miesiącach instytucye poświęcone uprzemysłowieniu Galicyi otrzymują liczne zapytania z Poznańskiego, dowodzące, iż dzielnica ta cicho i wytrwale pracuje nad wcieleniem zasady: „swój swemu".

Od Redakcyi.

N. N. w Poznaniu. Listy bez podpisu, czyli tak zw. bezimienne (anonimy) w każdej uczciwej redakcyi wędrują . . . . . . do kosza. Niech Pani odsłoni tajemnicę swego nazwiska — a chętnie w poruszonej sprawie Pani pomożemy.

Panu J. K.... w Pakości: Rozporządzenia takiego, obejmującego ogół ludności nie znamy. Być może, że władze policyjne wydały je dla Pakości.

— *Do Trzemeszna.* — Na list w sprawie osiedlenia się pisarza ludowego w Krobi odpowiedzieć nie możemy listownie, gdyż podpis jest *zupełnie nieczytelny.* Udaj się Szanowny Pan po informacye do p. Władysława Szulca, malarza w Krobi.

— *Przyjacielowi „Pracy" w Krobi.* — Anonimów nie uwzględniamy. Prosimy wystąpić z „otwartą przyłbicą" a chętnie zamieścimy.

Nekrologia.

† Ś. p. *Marya Wolińska*, dnia 1-go b. m. w Poznaniu w 12-tej wiośnie życia. R. i p.

† Ś. p. *Marya z Łukowskich Kryzanowa*, dnia 3-go b. w Ostrowie. R. i p.

† Ś. p. *Nestor Kierski*, z weteran roku 1863-go, dnia 5-go b. m. w Pleszewie, przeżywszy lat 85. R. i p.

† Ś. p. *Stefan Szenic*, dnia 5-go b. m. w Pniewach w 26-ym roku życia R. i p.

† Ś. p. *Konrada Kwapiszewska*, dnia 7-go b. m. w Poznaniu. R. i p.

Nasza ofiarność.

— **Wielkie nieszczęście** nawiedziło w tych dniach biedną osadę *Szczycionek pod Szczytnem na Mazurach.* Oto spłonęły tam prawie wszystkie gospodarstwa a dotknięci pożarem gospodarze zostali prawie zupełnie bez grosza. „Mazur", wychodzący w Szczytnie, rozpoczął już zbierać składki na nieszczęśliwych. Uważamy, że społeczeństwo nasze w innych dzielnicach także powinno pospieszyć z pomocą naszym braciom Mazurom.

Redakcya pisma naszego chętnie pośredniczyć będzie w przysłaniu datków na ręce redakcyi „Mazura."

Na dotkniętych pożarem braci Mazurów w Szczycionku: redakcya „Pracy" 5 mrk:

* * *

Na odbudowanie spalonego kościoła w Morzewie: zebrane przez grono pań w jednej ze szwalń poznańskich 6 mrk.

* * *

Na Towarzystwo Czytelni ludowych w Poznaniu: p. A. Łucka z Jaremcza w Galicyi 1 mrk

Na weteranów z 1863-go roku: pan A. Czechowicz z Chełmna 6 mrk.

Nadzwyczajny dodatek do nr. 32-go „Pracy."

Co to jest „Straż?"

Mowa posła dr. Alfreda Chłapowskiego z Bonikowa, wygłoszona na I. wiecu „Straży" dla północy Berlina dnia 29-go lipca 1906 r.

Szanowni i kochani bracia rodacy!

Gdy jechałem tutaj do was, do Berlina na wiec z tej Wielkopolskiej ziemi, wspólnej naszej kolebki i matki, walczyły w sercu mojem dwa uczucia — jedno radosne — drugie bolesne.

Radość moja powodowana była teraźniejszością — Wami, o których wiem, że jako na zachód wysunięty posterunek polski i słowiański, dzielnie się bronicie, że staracie się o to, by coraz mniej suchych gałęzi odpadało od polskiego pnia naszego, a niemiecki ogień wzmacniało, że na każdym kroku dajecie dowody coraz lepszej żywotności, że coraz liczniej łączycie się w Towarzystwach, że przyjazne dla „Straży" macie uczucia, i — sobą samym, któremu jest danem, przemawiać właśnie przed odłamem tej berlińskiej kolonii, która — nie frazesami się bawię — innym koloniom polskim jako przykład służyć powinna, i przez to zadać kłam wszelkim zakusom chcącym wywołać wrażenie, jakobym dla niej zrozumienia i szacunku nie miał, a wreszcie okazyą przemawiania pierwszy raz po za granicami Księstwa w interesie „Straży."

Niestety radość moja doskonałą nie była i być nie mogła, czarny cień rzucała na nią przeszłość tej brandenburskiej ziemi, na której jesteśmy teraz tylko gośćmi, gdyśmy dawniej byli tutaj panami. Nigdy tak jasno jak teraz nie stanęła mi przed oczyma jedna z najsmutniejszych kart historyi naszej — ta czarna nić ani jedną złotą sprzączką nie przerwana — zaprzepaszczenia w ręce niemieckie Brandenburgii, Pomorza, Saksonii tylko przez nieopatrzność słowiańską i przez dotąd nam jeszcze aż nadto przyrodzoną wewnętrzną niezgodę.

W ciasnych ramach przemówienia wiecowego, które i tak w pierwszym rzędzie innym celom t. j. zapoznania Was ze „Strażą" ma służyć, nie jest mi możliwem dać Wam choć pobieżny obraz tej prawie tysiącletniej walki, która na tych ziemiach się rozegrała, a która choć smutna, bo zupełnem zwycięstwem żywiołu niemieckiego uwieńczona, tem więcej pouczająca, bo przypominająca nawet w drobnostkach tę walkę, którą my teraz pod zaborem pruskim przeżywamy.

Już począwszy od panowania Karola Wielkiego, który żył w drugiej połowie VIII i na początku IX wieku, rozległo się w krainach niemieckich hasło: Idźcie na słowiańską ziemię, osiedlajcie się na niej i używajcie rozkoszy!

Nie krzewienie chrześciaństwa było przyczyną tych podbojów i najazdów, lecz pożądliwość obcej ziemi, do której już wtedy przedni panowie niemieccy ludy swoje nawoływali, tak jak i teraz nie krzewienie niby wyższej kultury jest podnietą do zwalczania wszystkiego co polskie, lecz po prostu żądza wzbogacenia się na obcej skórze i wszelkim zasadom chrześciaństwa kłam zadająca zasada „co twoje to moje, a co moje nigdy twojem nie jest i nie będzie." To jest charakterystyką tej buty germańskiej, która nam ciągle buty szyje, lecz wreszcie najgrubsze sobie samej uszyje.

(Oklaski i wesołość).

Jakem już wyżej wspomniał, musicie Panowie wiedzieć, że czasu swego słowiańskie i polskie zagrody pokrywały całą Brandenburgię, Śląsk, Pomorze i Saksonię nawet.

A teraz cóż? Na zachód od Wielkopolski Polaka z dawien dawna zasiedziałego się nie znajdzie, chyba takiego, który na robotę poszedł i, da Bóg, z dorobkiem do kraju powróci. Jedyny wyjątek stanowi kilka silniejszych kolonii polskich w Brandenburgii i Westfalii, między któremi berlińska prym wodzi, choć w przeszło trzymilionowem mieście — dawniejszej wiosce słowiańskiej — jest tylko kroplą w morzu niemieckiem. Wszystkie te dawne zagrody słowiańskie poszły z dymem pożarów, krew braci naszych strumieniami przez wieki całe się lała, ciemięzcy zostali, a uciemiężeni w grobach ojców spoczęli, pismo św. w ojczystym języku do trumny zabierając jako ostatnią zamarłej przeszłości pamiątkę.

A łatwe mieli Niemcy wtedy zadanie. Słowianie byli spokojnem w harcach wojennych niesprawnem plemieniem, które oszczepy i łuki tylko do polowania używało. Nie znali oni wyższej zachodniej kultury ani siły okutych rycerzy, a co gorzej dla niesnasek domowych nieraz obcym przybyszom przez zdradę dopomagali do podbicia własnych, pokrewnych sąsiadów. Średnie wieki były też inne, niż czasy teraźniejsze — mogli Niemcy mniej w środkach przebierać bez obawy przed sądem świata, mogli inaczej jeszcze jak teraz prawem miecza dawać się we znaki. Lecz że ludzi gromadami wyrzynać, znaczy kraj ubożeć i siły do pracy mu odbierać, chwytali się Niemcy już wtedy innych środków dziwnie teraźniejsze wobec nas zastosowywane przypominających:

Zakazywali Słowianom kupowania ziemi i domów w mieście, nie dopuszczali ich do urzędów, zakazywali mówić po słowiańsku, wydzierali synów z łona rodziny na ciurów obozowych i w biegu wieków doprowadzali do tego, że owe nam pobratymcze szczepy podupadłe na duchu, wypędzone na przedmieścia, zbiedniałe, prawie śladu po sobie nie zostawiły — garstka tylko nic nie znacząca, a dla nas zobojętniała pozostała — dzisiaj rzec można tylko mogiły i kurhany, po których tutaj stąpacie, świadczą jako nieme świadki o dawnej a dla nas zamarłej przeszłości.

Spytacie się może Panowie, czemu ja, który tutaj do Was przybyłem, by ducha podnosić, by otuchy Wam dodać, od tak smutnego zacząłem obrazu? Zrobiłem to naumyślnie, z jednej strony, by Wam pokazać, że mimo dla najezdczów wiele korzystniejszych czasów proces ów strawienia zasiedziałych tutaj szczepów trwał miejscami aż 1000 lat, a z drugiej strony, by Wam zwrócić uwagę na naukę, którą z historyi owych krain ciągnąć nam należy na przyszłość. Żeśmy te kraje stracili, polega na dwóch głównych błędach: nieopatrzności słowiańskiej i braku zgody wewnętrznej. Pozbądźmy się tych grzechów w zupełności, zastosowujmy wobec nawalnicy niemieckiej na zewnątrz tęgą i mądrą organizacyę, *opartą na najszerszej ludowej podstawie, a jednolitą, to o tę ludową opokę Niemcy zęby sobie wyłamią, tak że im więcej już nie odrosną.*

(Grzmiące oklaski i brawa.)

Jedności było i jest nam brak.

(Głosy: bardzo słusznie!)

Dawniej nie miały kraje rdzennie polskie jak n. p. Wielkopolska i Prusy zrozumienia dla tych rodaków, którzy dla zarobku opuszczali rodzinne strony i którzy szukali szczęścia w stronach czysto niemieckich. Panowało wtedy u nas przekonanie, że ci wychodźcy, jako gałęzie od pnia odcięte, raz na zawsze dla sprawy narodowej są straceni. Odsądzano ich od prawa brania udziału w sprawach narodowych.

Zapominano o tem, że przecież nie u wszystkich górowała zasada „ubi be-

ne ibi patria,'' „gdzie dobrze tam ojczyzna,'' że przeciwnie wychodziły na zachód tysiące mające w sercu ideał dorobienia się na obczyźnie z narażeniem życia i zdrowia we fabrykach ziejących zatrute gazy lub w kopalniach robiąc nadszychty — i wrócenia w strony ojczyste. Gdy zaczęły wracać te pracownicze hufce, choć mocno zdziesiątkowane, gdy równocześnie różne kolonie polskie liczące tysiące rodaków zaczęły się szeregować pod polskim sztandarem i dawać dowody patryotyzmu i jednolitości z rodzinnemi stronami, gdy wreszcie banki nasze po większej części zaczęły się opierać na oszczędzonych na zachodzie pieniądzach idących w miliony, wtedy spadło bielmo z oczu prowincyonalnych polityków, którzy przyznawać zaczęli, że wychodźca Polak żywiący czysto narodowe przekonanie jest równouprawnionym obywatelem bez względu na miejsce, które zamieszkuje. I wtedy zaczęło całe społeczeństwo polskie ręce do Was wyciągać i szczerze Was prosić o współudział we wszystkich ogólno - narodowych działalnościach. Lecz cóż się wtedy stało? Zamiast żeby ta broń bratnia szczerze przyjętą została, znalazł się niestety na obczyźnie wielki odłam rodaków, który słowem i piórem walczy

(Głosy na sali: Brejscy!)

przeciwko łączności obczyzny z krajem, przecinając niejako węzeł który łączyć powinien wszystkich Polaków pod zaborem pruskim żyjących w jedną wielką rodzinę bez względu na lokalne lub nawet ekonomiczne przeciwności.

(Głosy na sali: bardzo słusznie!)

Wychodząc z zasady „gromada to wielki człowiek'' powinniśmy dążyć do zespolenia wszystkich sił w jedno ognisko, aby wspólnemi siłami tem łatwiej odpierać ataki wroga na wszystkich polach życia społecznego.

(Oklaski.)

Tak samo więc jak posiadamy Centralny Komitet wyborczy dla spraw wyborczych na całe Niemcy, do którego ostatecznego założenia inicyatywa wyszła od Polaków berlińskich, powinniśmy posiadać jedną wielką organizacyę polityczną — powinniśmy się skupiać , a nie rozdrabniać.

(Głosy: bardzo słusznie!)

Mieliśmy dotąd kółka śpiewackie, gniazda sokole, kółka rolnicze, Towarzystwa przemysłowe i t. p., *lecz nie mieliśmy Towarzystwa ogólno-narodowego, któreby bez względu na zapatrywania polityczne i ekonomiczne jednostek pod jednym sztandarem łączyło wszystkich Polaków w Niemczech.* Towarzystwem takiem, które dotychczasowej partyzantce — nie szkodząc jej — lecz ją uzupełniając, kres ma położyć, jest właśnie *„Straż,''* wychodząca z tej zasady, że gromadą trzeba się bronić, a uciekać w pojedynkę, a dali Bóg myślę, że z nami nie jest jeszcze tak daleko, żebyśmy przed Niemcami uciekać mieli

(Huczne oklaski.)

— zatem dalej Rodacy pod jeden sztandar, na którym są wypisane słowa „Czuj duch'' — dewiza „Straży.''

(Cała sala woła: Czuj duch!)

Mówiąc o „Straży'' trudno nie przypomnieć sobie słów niemieckiego poety: „Ku złemu dążąc, także dobro stwarza'', które do hakatyzmu zastosować można, tej, za przeproszeniem, w... na ciele niemieckiem, zrodzonej jednem z ostatnich zatrutych tchnień żelaznego kanclerza.

Nie ulega kwestyi, że gdyby nie hakatyzm niemiecki, nie bylibyśmy „Straży'' założyli, bośmy się dopiero na hakatystach przekonali, jaki wpływ w napaści może mieć gromada ludzi idących jednolicie pod tym samym sztandarem, choćby, jak u nich, złym.

Zatem temu dziwić się nie można, że „Straż'' założoną została, lecz chyba temu, że dopiero tak późno się to stało, gdy hakatyzm po okresie dziesięciu lat tyle nieszczęść na nas sprowadził.

„Straż'' jest zatem poniekąd oddźwiękiem hakaty, lecz oddźwiękiem *czystym, szlachetnym i harmonijnym.* Podstawą jej jest bronić tego, co jest nasze, praw i ideałów naszych uświęconych przelaną krwią przodków naszych. Jakem powiedział jest hakata silna w napaści. *„Straż'' ma być silna w obronie,* hakata dąży do tego, by zabierać to, co do bliźniego należy, by propagować zasadę „siła przed prawem'', gdy tymczasem „Straż'' ma bronić naszego uczciwego dobytku na chrześciańskiej i konstytucyjnej zasadzie, „że prawo idzie przed siłą'', że to co piękne i czyste zwyciężyć musi.

To jest kardynalna różnica hakaty i „Straży''. My nikogo z Niemców na Polaka przerobić nie chcemy, lecz mamy prawo żądać, by i Niemcy tej zasady się trzymali. Naumyślnie podkreśliłem zasadniczo różnicę między hakatą a „Strażą'', bo Niemcy nazywają członków „Straży'' „polnische Hakatisten''. Gdy i Wam ten zarzut zrobią, łatwa odpowiedź: członkiem „Straży'', powinien być każdy prawy Polak, gdy tymczasem hakatystą szlachetnie czujący Niemiec być nie może.

(Ogólne przytakiwanie).

Przychodzę teraz do „Straży'' samej, za dużo już honoru zrobiłem hakacie, tak długo rozprowadzając różnicę między nią a „Strażą''.

Gdy ktoś przystępuje do jakiegoś stowarzyszenia najpierw się pyta, jaka jest jego organizacya. Otóż na czele „Straży'' stoi Główny Zarząd składający się z 21 członków, w skład którego wchodzą reprezentanci wszystkich warstw, zawodów i odcieni politycznych.

(Tu mówca szczegółowo przedstawia obecną organizacyę „Straży'' i tak mówi dalej):

Taka jest dotychczasowa organizacya „Straży''.

Otwarcie przyznaję, że okazuje ona pewne luki i braki jak n. p. ten, że starostowie i komisarze pełnią dotąd obowiązki swoje nie z wyboru, lecz na mocy nominacyi ze strony Głównego Zarządu. Jest to, że tak powiem, arystokratyczne urządzenie, lecz które niedługo, może już w przyszłym roku, zreformowane zostanie. Chwycono się tego sposobu z praktycznych względów. Organizując jakieś wielkie stowarzyszenie można je organizować tylko z góry, lecz gdy organizacya ta nie tylko na papierze będzie przeprowadzoną, gdy się raczej na około tego szkieletu zszeregują setki i tysiące członków, wtedy przyjdzie czas na reformy wewnętrzne, stosownie do rozwoju i potrzeb.

Nie potrzebuję tutaj podkreślać, że *„Straż'' jest i będzie zbudowaną na podstawie czysto demokratycznej i ludowej* i że tylko wtedy ma racyę bytu, bo tylko z wielkiej masy ludu siły czerpać może. Dowodem na to jest już niska składka 1 marki na rok.

Składka ta ma pod tym względem głębokie znaczenie, że jest *ona pierwszem regularnem składkowaniem ludu na cele czysto narodowe.* Lud nasz polski bardzo jest ofiarny, lecz dotąd na cele narodowe właściwie nic nie płacił, bo też nie miał okazyi do tego. Dawał obficie na kościoły — ileż to pieniędzy polskich utkwiło n. p. w kościołach berlińskich?

(Głosy: tak jest niestety!)

— na Siostry Miłosierdzia, na „Straż św. Józefa'' itp., *lecz na sprawę polską tak dobrze jak nic nie płacił.*

A trudno, kto żąda większych praw, musi przyjmować i większe obowiązki. *Ciężkość polityczna przenosi się coraz więcej na lud,* dąży on do coraz większego brania udziału w życiu publicznem, chce zaważać na szali przy ważnych decyzyach, jest zatem także i jego obowiązkiem i ciężary przejmować.

Gdy właśnie prosty biedak jednę markę składa na cele narodowe — na „Straż'' — *uszlachetnia się on przez ten podatek narodowy,* zewnętrznie już ponosząc ofiarę dokumentuje przynależność do narodu. Abstrahując od tego, że na drodze tych małych skła-

dek największe sumy zbierać można, pogłębia taka dobrowolna ofiara poczucie narodowe, jest dowodem kultury narodowej.

My — kochani Rodacy — dokumentując nasze uczucia, ponosimy nasze ofiary, my za naszą narodowość cierpimy, my wielcy jesteśmy w cierpieniu, a hakatyści wielcy w pożądliwości i dumie — wszystkie niezależne narody mają w przynależności do nich zyski, my straty, dla tego miano „jestem Polakiem“ powinno być dla każdego z nas największym zaszczytem, którego nigdy i nigdzie wstydzić się nie powinniśmy!

(Długotrwałe brawa i oklaski).

Mówiąc dalej o składkach, chciałbym nadmienić, na co są te pieniądze potrzebne. Z góry zaznaczyć mogę, że „Straż“ pieniędzy nigdy dosyć nie będzie miała, bo im większe będzie miała dochody, tem szersze obejmie pola działania. Wspomnę tutaj pobieżnie tylko o zapomogach na procesy polityczne mające ogólne narodowe znaczenie, jak n. p. proces wrzesiński lub laurahucki, o agitacyi wyborczej w mięszanych okolicach, o zakupnie wędrujących namiotów dla tych stron, gdzie sal dostać nie możemy, o założeniu biura dla Kól polskich w Berlinie, które by się zajmowało zbieraniem dowodów dla posłów, o wydawaniu bezpłatnych wielkich nakładów elementarzy polskich, historyi polskiej i katechizmów i moc, moc innych wydatków.

Gdy się rozwodziłem o organizacyi „Straży“ i zająłem już trochę krytyczne stanowisko, pójdę jeszcze dalej i oświadczę, że o ile „Straż“ względem rzeszy niemieckiej i Prus żadnych nie popełniła błędów, to wobec społeczeństwa naszego kilkakrotnie się pośliznęła.

Mam tutaj specyalnie na myśli deklaracye jej wobec władzy arcybiskupiej w Poznaniu, z których pierwsze nie były owiane tym stanowczym duchem, jaki byłby był na miejscu, a następnie pierwsze jej odezwy, które wobec narodu zbytnio podkreślały rzekome materyalne korzyści dla jednostek ze „Straży“ wypływające. I jak chociaż pragnę, by się — da Bóg — setki z Was tutaj obecnych do „Straży“ zapisały, z góry oświadczam, że dopóki „Straż“ nie będzie miała z jakie 200 000 członków, nikt materyalnych osobistych korzyści ze „Straży“ mieć nie będzie, jeżeli i sprawa narodowa na tem też nie zyska. Będzie „Straż“ każdemu służyć radą, temu lub owemu wskaże miejsce do zarobkowania, wyrobi w pojedyńczych wypadkach nawet i kredyt, by w jakiejś mieścinie wspomódz przemysł i handel polski, lecz zapomóg udzielać nie będzie i nie może. *Dla tego każdy niech wstępuje do „Straży“ z idealnych, narodowych względów*, a nie — broń Boże — dla zysku. Po ofiarę do Was przychodzimy, nie zyski Wam przynosimy.

Temu dziwić się nie można, że „Straż“ w początkach nie znalazła tam męskiego tonu, gdzie należało, że w tem lub owem nieopatrznie postąpiła, bo każda rzecz ludzka, czy to jaka intytucya, czy nowa fabryka, kolej itp. przechodzi zawsze przez t. zw. dziecięce choroby, a przez ten peryod i „Straż“ przejść musiała. Nie mogła się ona spodziewać, że prócz prokuratorów pruskich, zakazów wiecowych, szykan najróżniejszych, godzić na nią będą miecze z własnej pochwy — że *dzielnemu duchowieństwu wielkopolskiemu zostanie unicmożliwione współdziałanie w „Straży“*, że dalej na *obczyźnie* ukażą się prądy — mam tutaj *Westfalię* na oku, które co najmniej równie były bolesne. Lecz mimo tych wszystkich zakusów „Straż“ się rozwija dodatnio. Popełnione błędy zostały naprawione, członków przybywa i przybywać będzie. Pięknym dla obczyzny świeci tutaj przykładem Berlin, który dzięki sprężystości pp. komisarzy i w pierwszym rzędzie starosty p. Krysiaka prawie co niedzielę wiece urządza.

„Straż“ — kochani Rodacy — jest ostatnią jednolitą akcyą polską w wielkim stylu, pokładajmy w nią nadzieję i zaufanie, przystępujmy hurmem, a nie zawiedzie ich ona.

Jedna jest tylko kategorya Polaków, która do „Straży“ przystępować nie powinna, to są urzędnicy państwowi i nauczyciele, bo by przez przystąpienie mogli stracić zarobek i byt rodziny na szwank wystawić. Tym do „Straży“ przystępować nie wolno, lecz za to wszyscy inni do niej garnąć się powinni. Czytaliście może w gazetach, że ten lub ów stracił miejsce dla „Straży“, że dalej np. giełda strzelecka w Gnieźnie postawiła wniosek o wykluczenie tych członków, którzy równocześnie do „Straży“ należą

(Głosy: po co do giełdy należą?)

i t. p. Na to wszystko jest, moi panowie, jeden tylko środek, by tego rodzaju rzeczy powtarzać się nie mogły, t. j. *by każdy Polak jak najprędzej do „Straży“ się zapisał.*

(Huczne oklaski).

Gdy wszyscy przystąpią, różniczkowania nas Polaków nie będzie, a gdy coraz to nowe tysiące policya poznańska w owych sławetnych spisach będzie musiała drukować, znudzi jej się to nakoniec! Tutaj też przypomnieć należy, że jeżeli Niemiec daje Polakowi zarobek, nie czyni to z miłości, lecz dla tego, że własny zysk w tem widzi, i jeżeli kupuje u Polaka to dla tego, że tam towar dostanie i lepiej niż u swojego. *Dosyć już jest tego zbytniego oglądania się na Niemców, czy to co robimy im się podoba czy nie.*

(Głosy: bardzo słusznie!)

Co najlepiej robimy, to im się najmniej podoba, im więcej się krzywią, tem więcej dla nas przyczyny się śmiać i cieszyć.

(Huczne oklaski i brawa!

A dają nam oni ku temu okazyi dosyć!

Sławne jest powiedzenie żelaznego kanclerza „Wir deutsche fürchten Gott, sonst niemand auf der Welt“. Teraz niedawno temu w Katowicach zmienił to zdanie jeden podcięty hakatysta i powiedział: *„Gott fürchtet nur die Deutschen, sonst niemand auf der Welt“.*

(Szalona wesołość).

Dumnie i szumnie brzmi to zdanie, lecz jak ono wygląda w praktyce!

Gdy widzimy mizdrzenie się Niemców w zagranicznej polityce, pokłony, które biją Rosyi, Austryi, telegramy do Włoch, sławny pojedynek w Algeciras, z którego Niemcy wyszli jak kot z wody wyciągnięty,

(Cała sala śmieje się serdecznie)

to dali Bóg powiedzieć można, widząc ich butę wobec nas słabszych, że boją się oni wszystkich tylko nie Pana Boga!

(Huczne oklaski).

Panuje teraz na całym swiecie niesłychane niezaufanie do Niemców, którzy wszędzie się wścibiają, gdzie tylko mogą np. chwilowo nawet do Abesynii, cesarstwa w głębi Afryki położonego. Motywa do tego postępowania określa znakomicie jeden z naszych poetów nowoczesnych mówiąc o Niemcu:

Bo wszystko mu zawadza
Nad czem nie jego władza,
Złe żaby w stawie rechcą,
Bo po niemiecku nie chcą
I ptak go w lesie gniewa —
Nie po niemiecku śpiewa...

Dalszych wierszy nie wypowiem, bo ten pan za mną (reprezentant policyi) mógłby mnie złapać za kołnierz.

(Ogólna wesołość na sali).

A jakże wygląda ich kultura, którą nam przynoszą, czem się ona odznacza? Żandarmami wdzierającymi się do naszych kościołów, ciągłemi procesami, zakazami uczenia dzieci po polsku, obitemi rączkami dzieci wrzesińskich, zamiarami paczenia naszych dzieci uczeniem spaczonej i kłamstwami naszpilkowanej historyi polskiej,

by je zrazić do własnej naszej przeszłości. Nie koniec na tem!

I tak proponują niektórzy Niemcy, żeby rozdawać dzieciom naszym zabawki dla rozbudzenia patryotyzmu, n. p. cesarza Fryderyka Rudobrodego z porcelany i z tegoż materyału innych sławnych mężów niemieckiego narodu, dalej małe pickelhauby i nawet karmelki patryotyczne w papierkach strzelających, na których napisane mają być zwrotki z pięknej piosenki „Ich bin ein Preusse, will ein Preusse sein". Inny zaś pan przestrzega swoich rodaków przed zgubnym zwyczajem, który się tu i owdzie zakradł, (obecne na sali panie, raczą nie słuchać — wesołość), *żeby używać mamek polskich do karmienia dzieci niemieckich*, bo jad polonizmu mógłby się wsączyć w żołądek małych Germanów. (Cała sala trzęsie się od uśmiechu, kobiety tak samo).

Koronę szowinizmu niemieckiego osięgnął pewien przygodny astronom germański, który rozpacza nad tem, iż na niektórych astronomicznych kartach jedna z konstelacyi gwiazd czyli obrazów gwiaździstych na siebie nosi dotąd nazwę tarczy Sobieskiego. Jakto, woła ów zacny hakatysta, więc nie dość, że cały dzień widzę Polaków koło siebie, ale nawet gdy w wieczór letni po piwie wychodzę z cygarem w ustach do ogródka restauracyjnego, śmieją się ze mnie polskie gwiazdy. Temu panu łatwo dopomódz. Zamiast Sobieskiego proponujemy wsadzić na szczyt nieba jednego z ojców hakatyzmu, który zapewne tem bardzo uczuje się uczczonym, ale cóż kiedy oni nie mają tarczy, zatem możnaby np. uwiecznić w ten sposób jakiś przedmiot mający bliższą styczność z tym panem, a więc dajmy na to pantalony p. Hansemanna.

(Wielka wesołość).

Zastrzegam się, że nie odemnie wyszedł ten plan zmiany nazw gwiazd niebieskich, tylko z strony niemieckiej.

Gdy Niemcy tak *wysoko, bo aż do nieba ze swojemi pretensyami antypolskiemi idą*, czyż dziwne, że tu na ziemi rażą ich oddźwięki wszystkiego co polskie i czyż dziwne, że rząd potężny w Berlinie samym rozkazał przeglądać i cenzurować programy koncertów, czy przypadkiem na nich nie zagraża mu sonata albo nokturn Chopina?!

Jeżeli Niemcy tak dalej pójdą, jestem pewny, że niezadługo w restauracyach jadłospis obiadowy podlegać będzie prześwietnej cenzurze władzy i polskie flaki i zrazy jako nie dosyć patryotyczno-pruskie potrawy do pruskich żołądków wpuszczane nie będą.

(Wielka wesołość).

Miejsce ich zastąpić mają nabożne, bo z niebem mające styczność „Schlesisches Himmelreich".

(Oklaski i wesołość na całej sali).

I w ten sposób i taką bronią posługują się dziś ci, którzy na każde zawołanie mają trzy miliony bagnetów i paszcz armatnich tysiące i kraty więzień pruskich, poza któremi przed laty 20 kapłani polscy dawali świadectwo swej wierności dla swego Boga i swego ludu, a za któremi dziś redaktorzy i działacze polskości cierpieć muszą za każde energiczniejsze słowo obrony narodowej sprawy tego ludu.

Zdaje się, że zaczyna się coś rysować w tym dumnie zbudowanym gmachu niemieckim, jeżeli widzimy objawy takiego *strachu, godne chorej histerycznej kobiety, ale nie zwycięzców* z pod Sedanu, którzy dziecinnemi błahostkami chcą skazić stałość naszych dzieci, które zaprawdę poważniejszą od owych proponentów odgrywają rolę.

Przed chwilą brał nas śmiech pusty, lecz za tą śmieszną zasłoną poważna mieści się treść — dawniejsze zdanie niemieckie „Boimy się tylko Boga a zresztą nikogo" coraz więcej staje się czczym frazesem!

Mimo ujadania szowinistycznej sfory, mimo ciosów przeciwko nam skierowanych, mimo prześladowania półtorawiekowego, żaden z Was — bracia — nie czuje się mniej Polakiem, jak jego dziad lub pradziad, a ma jeszcze w dodatku w sercu swojem te krzywdy stuletnie, te cierpienia całych pokoleń i ten ból milionów, który zamieni się z łaską Bożą w milionów czyn — obywatelski czy w rodzinie, czy w społeczeństwie.

(Huczne oklaski).

Nie tylko to, cośmy dawniej kochali, kochamy dzisiaj, ale pamiętamy i to, czegośmy dawniej nie pamiętali, bośmy tego nie przebywali!

I dziw przejmuje myślącego człowieka na myśl, że ci, którzy nam tę pamięć wciąż mnożą, nie widzą tego, że mają przecież do czynienia nie z kawałkiem drzewa, który można na swoją modłę ociosać lub kawałem gliny, z której to wolno ulepić postać, ale z żyjącemi istotami, ludźmi myślącymi, którzy dzieciom swoim tę myśl i to uczucie przekażą.

Ale gdzież nas prowadzicie, wy kulturnicy niemieccy, do czegoż chcecie byśmy dążyli, jakie ideały mamy pozyskać, odtrąciwszy te, które posiadamy, czyż tam iść mamy, gdzie wiara gorsza od naszej, gdzie zmateryalizowanie do szkoły ludowej, do kazalnic Waszych sięga, czyż tam do tego narodu, który tyle prawiąc o swojej jedności, trzyma się głównie razem dzięki owym bagnetom, które z niemieckiej ręki niemieckie piersi przebijały pod Kissingen i Langensalza!

W 100 latach niedoli zrobiliśmy wielkie postępy w jedności i zgodzie, a cnoty narodowe, które były naszą deską ratunku, a które pomnażać jest naszym obowiązkiem, będą i nadal naszą ostoją.

Macie — kochani Rodacy — właśnie teraz okazyą najlepszą do okazania pragnienia jedności przez przystąpienie do „Straży". I jeżeli ten więc jako i inne ten cel łączenia nas spełnia, wtedy będzie ich pożytek rzeczywiście niespożytym i kiedyś w dziejach naszego narodu na smutnych kartach, na których spisane będą czasy naszej niedoli, przedstawiać się będą te nasze zebrania jako czynnik poważny i dodatni.

I na tem kończąc, wyrażam przekonanie, że z pomocą Bożą tak jest i coraz dalej będzie i że ta miłość nasza do sprawy ojczystej prawdziwie gorąca i cierpliwa — ta miłość czynu — bracia Rodacy — ona jeszcze nie zginęła!

(Długie, niemilknące, entuzyastyczne oklaski i brawa).



Ze Zlotu Okręgu V-go Sokolstwa polskiego odbytego dnia 8-go lipca w Berlinie.

Generalna próba ćwiczeń na bojisku. Rycina przedstawia chwilę, gdzie okręg cały ćwiczy obowiązkowe ćwiczenia żerdziami. Ułożono pięć obrazów, które jako bardzo udatne wywołały uznanie kilku tysięcy widzów. Figurę wykonuje zawsze trzech druhów, z których dwóch klęcząc na jednem kolanie, trzyma na drugiem żerdź; na żerdzi stoji trzeci druh podtrzymywany rękoma klęczących. Całość wypadła bardzo udatnie i potwierdziła panującą opinią, iż okręg V-ty zachodni jest najlepszym pod względem gimnastyki.

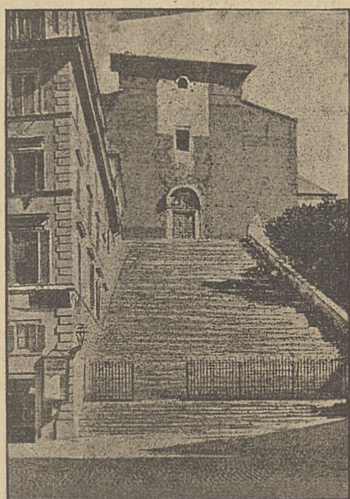
Wewnątrz jaka harmonia... jońskie słupy białe,
Strop złocisty, mozajki, marmury, granity,
Śród klejnotów w kaplicy obraz znamienity.

Betleemskiego żłóbka szczątki poczerniałe
Przedziwnie grają w sercu Matki Boga chwałą,
Niosą ducha ku Słowu, co się Ciałem stało.

* * *

Aracoeli.**)**

Na szczycie Kapitolu, gdzie przed wieki mieli
Rzymianie gród warowny i bóstw swych świątynie,
Wspaniała, starożytna bazylika słynie
Czcią Dzieciątka Bożego — zwana Aracoeli.



Aracoeli.

Tu modląc się swym bogom, cesarz August w chwili,
Gdy Pan w Betleem się rodził, ujrzał w gwiazd obłęku
Dziewicę na niebiosach, z Dzieciątkiem na ręku —
Więc tu ołtarz mu stawił, za wieszczbą Sybilii.

Dziś Dzieciątko, rzeźbione z oliwnego drzewa
Z Ogrójca, hojne łaski na wiernych tu zlewa,
Wraca zdrowie niemocnym, a dzieciny małe
W dni święta Narodzenia najtkliwszemi słowy
Przed żłóbkiem cześć mu dają, wedle Pisma mowy:
„Z ust niemowląt uczynił doskonałą chwałę".

****) Czytaj: Araczeli. – Bazylika „Santa Maria d'Aracoeli," jedna z najstarszych świątyń rzymskich, wznosi się na najwyższym szczycie Kapitolu, na gruzach zamku (ar) i świątyni Junony Monety. Wewnątrz kaplicy św. Heleny znajduje się pod ołtarzem stary ołtarz z napisem *ara primogeniti Dei* (ołtarz pierworodnego syna Boga). Wzniósł go cesarz August wskutek widzenia, które mu Sybilla Tyburtyńska jako zapowiedź nastania prawdziwej religii wytłomaczyła.

Autor „Rzymu w sonetach" należy do starszego pokolenia. Z zawodu pedagog (przed kilku laty wyszedł do emerytury jako profesor gimnazyum Św. Anny w Krakowie) od lat blizko 40 zamieszczał utwory poetyczne przeważnie okolicznościowe w czasopismach galicyjskich: „Dzwonek," „Dziennik literacki," „Czytelnia dla młodzieży," „Czas," „Nowa Reforma," „Głos Narodu" i t. p. W roku 1900 wyszedł spory tom tych poezyi p. t. „Z minionych lat" poprzedzony nader pochlebnemi uwagami o talencie Stroki prof. Małeckiego, Teofila Lenartowicza i Kornela Ujejskiego. Nadto prof. Stroka wydał kilka monografii literackich i przekład poematów łacińskich Grzegorza z Sambora p. t. „Częstochowa" i „Święty Stanisław Kostka."



Wincenty Stroka.

Królowa Jadwiga.

Pięć wieków minęło — jak zgasnął najświetniejszy brylant królewskiej korony — najczystsza jej perła — największa chluba Piastowskiego rodu — mądra, piękna i święta — córka Ludwika Węgierskiego, a wnuczka Kazimierza Wielkiego — królowa Jadwiga.

Pięć wieków minęło, jak polski naród odprowadził tę swoją umiłowaną świętą do grobów królewskich na Wawelu.

Pięć wieków długich czekasz, Ty święta, na swą kanonizacyę — lecz, da Bóg, już niedługo.

Niedługo zyska w Tobie nową orędowniczkę przed Bogiem naród Twój umęczony!

. . . .

Życie jej całe — to jakby „poemat dla Boga" — opromieniony wiarą, rozserdeczniony miłością Boga i ludzi, uświęcony cierpieniem.

Ludwik Andegaweński, nie mając męzkiego potomka, zapewnił na zjeździe w Koszycach 1374 roku tron polski dla jednej ze swych córek. Miał dwie: Maryę, zaręczoną z Zygmuntem, margrabią brandenburskim i młodszą — Jadwigę, zaręczoną w dzieciństwie z Wilhelmem księciem austryackim. Po śmierci Ludwika wystąpiło z pretensyami do tronu polskiego trzech kandydatów: Zygmunt, narzeczony Maryi, domniemanej królowej polskiej, Władysław Biały, książę opolski i Ziemowit mazowiecki, pochodzący z bocznej linii Piastów. — Wszyscy trzej zjawili się w Polsce i każdy z nich zjednał sobie pewną liczbę zwolenników. W kraju powstał nieład, bezrząd i groźne rozruchy. Jedna część Polaków była za Ziemowitem — druga za Opolczykiem — trzecia słała bezustannie posłów na Węgry do królowej Elżbiety, aby czemprędzej przysłała jednę ze swych córek.

Tymczasem Węgrzy królową swą obrali starszą córkę Maryę. Elżbieta, bojąc się, aby kto inny nie zagarnął tronu, obiecała przysłać Jadwigę do Polski. Bezkrólewie — namysły — wahanie i kłótnie trwały całe dwa lata, aż wreszcie przybywa Jadwiga do Polski 1384 roku. Z rodu bohaterów i świętych, wnuczka ostatniego z Piastów, prawnuczka św. Stefana i św. Ludwika — tak młoda, że jeszcze dziecko prawie, a tak piękna, że „w owym czasie piękniejszej świat nie widział" zjednała sobie od razu serca całego narodu. Niepokój i kłótnie ustały natychmiast i bez zwłoki odbyła się koronacya. Niebawem począł naród rozmyślać nad wyszukaniem małżonka, godnego szlachetnej i pięknej pani; Wilhelm bowiem, jako pochodzący z austryackiego domu, nie był mu sympatycznym. Obmyślili Ziemowita, „potomka domu, panującego w Polsce przez pięć wieków".

Tymczasem sława cnót i piękności młodej królowej rozniosła się szeroko po świecie. Jagiełło, książę pogańskiej Litwy, syn wielkiego Olgierda, dowiedziawszy się o cudnej władczyni, przysyła swych posłów z prośbą o jej rękę. Obiecuje złączyć Litwę z Polską pod jednem berłem — przyjąć

wraz z całym narodem wiarę chrześciańską — jeńców, zabranych w długoletnich wojnach z Polską, udarować wolnością. Zbyt kuszące były te obietnice Jagiełły, aby go naród polski nie miał poprzeć. Na zjeździe w Krakowie uradzono oddać Jagielle rękę Jadwigi.

Tu zaczyna się tragedya tego niewinnego serca. Przeznaczona od dziecka Wilhelmowi, pokochała go całą duszą i wierzyła święcie w ważność ślubu zawartego w dzieciństwie. Tymczasem poczęto ją namawiać, aby oddała rękę Jagielle — że śluby zawarte w dzieciństwie nie zobowiązują — że wobec tak wielkich korzyści dla Boga i kraju nie powinna odmawiać. Jadwiga waha się . Z jednej strony pierwsza miłość gorącego serca, której wyrzec się dobrowolnie nie ma siły — z drugiej wielkie korzyści, pozyskanie dla Boga tylu milionów dusz ludzkich, uwolnienie więźniów jęczących w turmach i podziemiach litewskiej ziemi. Boi się przytem tego „barbarzyńcy dzikiego", jak go sobie wyobrażała ona, córka sławnego rodu, wychowana w prawdziwej wierze, pobożności, obyczajności — piękna, szlachetna, cnotliwa. Prócz tego doszły ją pogłoski, że Jagiełło przyczynił się do zgładzenia stryja swego Kiejstuta, którego był kazał uwięzić podczas rozruchów na Litwie. — Nie — ona nie może wstrętu przezwyciężyć — ona tamtego kocha — tam temu ślubowała. Nie może wyrzec się kochania swego... To niepodobno, aby Bóg żądał od niej tej ofiary... Bóg nie potępia czystej miłości... On jej błogosławi, bo On dobry i Sam jest miłością...

A jeśli właśnie Bóg żąda tej ofiary — jeśli chce, za cenę jednego skrwawionego serca, uzyskać miliony serc dla Siebie — jeśli za cenę jednej rozpłakanej duszy chce miliony dusz posadzić w królestwie niebieskiem?... — Czy nie lepiej, że serce jej popłacze samo jedno, niż gdyby tam w więzieniach miliony serc płakać miały w udręczeniu do końca żywota... czy nie lepiej, że jedna dusza pocierpi, niż gdyby tam miliony dusz żyły w pogaństwie i ciemności i cierpiały w ogniu piekielnym... Dał jej Bóg rządy narodu na to, aby mu matką była — aby mu dobrze czyniła... Co powie Bogu na sądzie ostatecznym? jak się uniewinnić!... Tak waha się serce królowej pomiędzy miłością a obowiązkiem, a dusza walczy, męczy się, krwawi...

W tym czasie zjeżdża do Krakowa Wilhelm i, gdy wzbroniono mu wstępu do zamku, osiada w pobliskim klasztorze Franciszkanów. Miłość, tłumiona głosem rozsądku, wybucha z podwójną siłą. Narzeczeni widują się i wspólnie rozmyślają nad zażegnaniem złego. Naród pragnie przeszkodzić widywaniom się temu — w tym celu kasztelan krakowski Dymitr z Góraja zastępuje drogę królowej przy bramie w chwili, gdy dąży do umiłowanego.

słowiańskich, lecz nieprzyjaznych sobie narodów. Wielkie niezaprzeczenie do wdzięczności prawo ma Zygmunt August, że przyprowadził do skutku rzeczywiste połączenie się i zbratanie dwóch tych narodów w Unii Lubelskiej, ale nie mniejszą zasługę ma królowa Jadwiga, że pierwsza przyczyniła



Królowa Jadwiga.

Jadwiga, w obronie pogwałconych praw serca, chwyta za miecz, chcąc nim sobie utorować drogę. Był to ostatni wysiłek zrozpaczonej miłości. Królowa składa swe uczucie na ołtarzu ojczyzny i poddaje się woli narodu. Jagiełło przybywa do Polski i przyjmuje chrzest z rąk Bodzanty, arcybiskupa gnieźnieńskiego. Wraz z nim zostają ochrzceni dwaj jego bracia: Skirgiełło i Świdrygiełło i stryjeczny brat Witold, syn Kiejstuta. — Jadwiga żąda przed ślubem, aby Jagiełło dowiódł, że nie jest winien śmierci Kiejstuta. Witold świadczy za nim. Następują zaślubiny i Jagiełło wkłada na głowę koronę Polski i Litwy.

Tak ofiara jednego anielskiego serca przyczyniła się do zbliżenia dwóch

się do ich poznania. Kto wie, czy Zygmunt August dokonałby tego wiekopomnego dzieła a tak rzadkiego, że drugiego przykładu nie ma w historyi, gdyby nie to zbliżenie się Litwy do Polski za przyczyną Jadwigi.

Odtąd królowa jest najlepszą żoną i najczulszą matką swego narodu. Zaraz po ślubie jedzie wraz z mężem do Wielkopolski, aby tam uśmierzyć niepokoje i zjednać sobie Wielkopolan, którzy sprzyjali więcej Ziemowitowi. Tam okazała się jej niezmierna dobroć, sprawiedliwość i czułość na łzy ludzkie. Gdy bowiem dworzanie królewscy pokrzywdzili biednych kmiotków, zabierając im dobytek, królowa wstawia się za nimi przed mężem, aby nagrodził krzywdę. A gdy król przyczynił się do jej prośby — rzekła: „Krzy-

wda nagrodzona, ale wylane łzy kto wróci biednym?"

Wróciwszy z Wielkopolski udają się oboje królestwo na Litwę, aby ją ochrzcić. Zakładają kościoły w Wilnie, Wiłkomirzu, Myszagole, Miednitach, Niemenczynie, Krewie, Hajnowie i Obolczycach. Ciężkie to było zadanie, gdyż w sercach Litwinów pogaństwo głęboko było zakorzenione. Król sam przemawia do ludu i zachęca gorliwie do porzucenia dawnych bożków. Zatrzymała go ta św. misya dłużej na Litwie, królowa wraca do Polski.

Podczas nieobecności męża — Jadwiga zamyślała o przywróceniu Rusi, którą był jej ojciec nieprawnie przyłączył do Węgier. Czas był najodpowiedniejszy, aby naprawić krzywdę wyrządzoną krajowi i oczyścić pamięć ojca. Mężna królowa zbiera poczet rycerstwa, niewieścią dłonią chwyta za oręż i wkracza na Ruś. Zamiar jej pomyślnym zostaje uwieńczony skutkiem, — Ruś, pomna sprawiedliwych rządów Kazimierzowych, poddaje się jednomyślnie Jadwidze. Tymczasem wraca Władysław Jagiełło z Litwy.

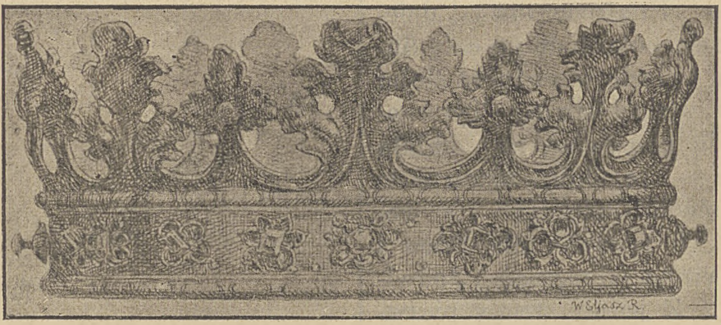
Korzystając z długiej nieobecności króla i chcąc go poróżnić z żoną — Gniewosz z Dalewic, podkomorzy krakowski, oskarza królowę o wiarołomstwo. Rzuca podejrzenie, jakoby dotąd trwała w miłości dla Wilhelma i z nim się widywała. Jagiełło „z przyrodzenia zazdrosny i podejrzliwy" uwierzył. Królowa obrażona w najświętszych uczuciach żony — sama domaga się uroczystego sprawdzenia oskarżenia. Na zwołanym sądzie w Wiślicy przysięga swą niewinność. W obronie jej staje dwunastu znamienitych rycerzy z Jaśkiem z Tęczyna na czele i wzywa Gniewosza na sąd boży. Uląkł się oskarżyciel i odwołał kłamstwo. Ówczesnym zwyczajem musiał „z pod ławy odszczekać" oszczerstwo. Jagiełło uwierzył cnocie i odtąd już nie dawał ucha fałszywym podszeptom.

Jak bardzo król cenił rozum i trafny sąd swej małżonki najlepszym dowodem, że jej oddał do rozstrzygnięcia spór z Krzyżakami o ziemię Dobrzyńską — którzy bezustannie wynajdywali zaczepki i powody do wojny z Jagiełłą. Królowa w proroczem natchnieniu przepowiada Krzyżakom niedaleki pogrom:

„Póki ja żyję powstrzymuję rękę i słuszny gniew męża mojego, lecz pamiętajcie, iż po mojej śmierci spadnie na was kara za wasze grzechy".

Proroctwo się spełniło — w 10 lat po jej śmierci ukarał Jagiełło pychę krzyżacką. „I przyszedł czas, że wyłamane były ich zęby i była im ucięta ręka prawa, a prawa noga ochromała, aby uznali grzechy swoje". (Proroctwo św. Brygidy).

Również Witold i Skirgiełło, będący w ciągłych waśniach ze sobą, oddawali swe spory pod mądry sąd Jadwigi.



Królowej Jadwigi korona, odkryta w kościele Bożego Ciała w Poznaniu.
Korona ta wedle tradycyi była własnością królowej Jadwigi i po jej śmierci przez Władysława Jagiełłę złożoną została jako wotum na monstracyi w kościele Bożego Ciała.

Nie skąpił Bóg jej cierpień jako swej wybrance. Snać cierpieniem chciał oczyścić jej duszę z wszelkich pyłów światowych. Dotknął ją cierpieniami, jakie najwięcej odczuć musi wrażliwa dusza kobieca. Kazał jej się wyrzec umiłowanego człowieka — dozwolił, aby ją, królewską małżonkę, szlachetną i cnotliwą — obrzucono potwarzą i pozbawił ją długi czas dzieci, co naówczas za „hańbę" uważano.

Jak złoto w ogniu, tak w nieszczęściu hartuje się dusza. I wyszła z tych prób czysta jak łza anielska, biała jak kwiat lilii.

Już za życia nazywano ją powszechnie świętą i czczono jak świętą. Mówiono, że dotknięcie jej dłoni uzdrawiało — stare jej szaty, dawane chorym, wracały zdrowie. Tak powszechnie wierzono w skuteczność modłów królowej, że lud przychodził do niej z prośbą, aby modliła się to o zdrowie czyjeś — to o pomyślność lub urodzaje.

Ona tymczasem im więcej miała zasług, tem skromniejszą się stawała — tem więcej oddalała się od świata i uciech jego. Nosiła proste, prawie zakonne szaty i cudną swą twarz anielskiej piękności zakrywała welonem — mówiąc, że nie przystoi jej próżność. Wiodła żywot prawdziwie surowy, pokutniczy, oddana dobrym uczynkom, modlitwie i pracy. Jeden z ornatów, wyhaftowanych jej ręką, przechowują dotąd w Krakowie, jako pamiątkę po świętej królowej.

Dbała bardzo o chwałę Pańską — kazała przełożyć na język polski Pismo św. i żywoty świętych, które najchętniej czytać lubiła. Ponieważ nie było wówczas w Polsce seminaryum dla księży — ustanowiła z wieczystego funduszu przy Akademii pragskiej „Dom królowej" dla 12 księży Polaków i Litwinów.

Opiekowała się również królowa troskliwie Akademią krakowską, założoną przez Kazimierza Wielkiego — która za rządów jej ojca znacznie podupadła. Jak bardzo troskała się o jej przyszłość, najlepszym dowodem, że w testamencie przekazała połowę swych skarbów na rzecz Akademii. Drugą część przeznaczyła ubogim.

Krótko przed śmiercią stara się Jadwiga zapobiedz rozlewowi krwi — przeczuciem wiedziona o wojny nieszczęśliwym skutku, odradza Witoldowi wojnę z Tamerlanem — czyli Tejmurem kulawym, dowódcą hord tatarskich. Przeczucie się sprawdza — Witold pobity na Gołempolu. Mnóstwo rycerstwa litewskiego i polskiego ginie na placu boju.

Pod koniec żywota „zdjął Bóg z niej hańbę bezpotomności i napełnił kraj cały nadzwyczajną radością." Niedługo jednakże trwała radość. Urodzona córeczka, którą papież Bonifacy IX. trzymał do chrztu, w dowód osobliwszej miłości dla obojga królestwa, żyła tylko dni kilka. W kilka tygodni później dnia 17-go lipca 1399 roku zakończyła swój świątobliwy żywot królowa, przeżywszy lat 28.

Tłumy opłakującego swą panią narodu były świadkiem rozlicznych cudów i łask doznanych za jej przyczyną.

Tłumy odprowadziły jej zwłoki do grobów królewskich na Wawelu, gdzie spoczywa „oczekując dnia sądu ostatecznego."

I stracił w niej cały naród opiekunkę i dobrodziejkę, lecz w szczególności lud prosty, któremu prawdziwą matką była. — Umarła — lecz pamięć jej żyje w sercach narodu po wszystkie czasy.

Bije od niej taka moc ducha — taki blask chwały i świętości, że jest nam ona najdroższą z wszystkich królowych, najwięcej przez nas umiłowaną panią.

Zaraz po śmierci chciano ją kanonizować, lecz zamiary spełzły na ni-

czem. Dziś, gdy słusznie przypomniano sobie, że ta nasza święta czeka pięć wieków naprożno na kanonizacyę — naród polski, który jej tyle zawdzięcza, powinien dołożyć wszelkich starań, aby tym razem zamiary lepszym zostały uwieńczone skutkiem.

Czas wielki, aby ten naród dziś umęczony, który tyle ukochała, który tak wielką okryła niegdyś chwałą, mógł modlić się do niej ze łzami:

Św. Jadwigo, Pani nasza umiłowana
módl się za nami!
Ty, która krzewiłaś wiarę — daj nam
wiarę;
Ty, która stawiałaś kościoły — broń
kościoła!
Ty która wybawiałaś więźniów — wybaw nas z niewoli,
Ty, która broniłaś swej ziemi — spraw,
by nam ziemi nie wydzierano!
Ty, która kochałaś język ojczysty — spraw, byśmy nim do śmierci mówili!
Ty, której życie było ofiarą — spraw,
by każda ofiara policzoną była!
Ty, która cierpiałaś — spraw, by cierpienia nasze nie były daremne!
Ty, która użaliłaś się łzy każdej —
użal się naszych!
Ty,która zbratałaś Litwę z Polską — braterstwo ludów przyspiesz na ziemi!
Ty, która byłaś orędowniczką pokoju
— pokój Boży przyspiesz na ziemi!

* * *

Żałobnem echem odezwał się rankiem dnia 17-go lipca wawelski „Zygmunt,“ śląc wezwanie do udziału w nabożeństwie z powodu 508-mej rocznicy śmierci królowej Jadwigi. Tegoroczne nabożeństwo w Krakowie odbyło się za wpływem Związku katolickich kobiet, pragnącego w myśl odezwy ks. prałata Bandurskiego szerzyć cześć wielkiej królowej. Nabożeństwo, przed głównym ołtarzem odprawił w asyście ks Bandurski, mając na sobie ornat z czasów Batorego. Do ofiary Mszy św. użyty był szczerozłoty kielich Zygmuntowski, a do nakrycia kielicha drogocenna makatka, dzieło rąk królowej Jadwigi, wyszywana złotem i srebrem oraz drobnemi koralami. Podczas Mszy św. chór odśpiewał pieśń „Bogarodzica.“

Po Mszy św. ks. prałat Bandurski wypowiedział od ołtarza natchnioną przemowę, poruszającą do łez zebranych, w której nakreślił postać królowej, dał jej wizerunek duchowy, obraz jej cnót jako monarchini i kobiety, przyczem wskazał ofiarę, jaką spełniła dla połączenia Polski i Litwy, a której następstwem było wielkie zwycięstwo pod Grunwaldem i odparcie na długie wieki nawały teutońskiej.

Nakreśliwszy wizerunek wielkiej królowej i świętej kobiety, natchniony kapłan wskazywał potrzebę uczczenia jej pamięci przez cały naród i podniesienia do czci ołtarza, zjednoczenia się w zgodzie Polski, Litwy i Rusi. Gorącą modlitwą do królowej, której zwłoki spoczywają tuż u stóp ołtarza w katedrze krakowskiej, zakończył kapłan przemówienie.

Franciszkanie i Bernardyni w Nowem nad Wisłą.

Przyczynek do historyi południowego Pomorza.

Napisał Konstanty Kościński.

(Ciąg dalszy).

Ksiądz Bieszk, jako administrator klasztoru, puszczał w dzierżawę rolę i łąki klasztorne, wydzierżawiał ubikacye w zabudowaniach zakonnych, reparował też po części, zrywał należące się do klasztoru chałupy jednę po drugiej, spieniężał uzyskany z tego powodu materyał i oddawał po potrąceniu wykładów cały przychód do kasy rządowej. [1]) W czasie tej administracyi żył z zakonników bodaj już tylko gwardyan Roman Wax. Temu wyznaczono alimentacyą. Mieszkanie zatrzymał ks. Wax w klasztorze; mszę św. odprawiał, o ile ułomność wieku podeszłego mu na to pozwalała, w zakrystyi. Obok gotówki, której ks. Wax w styczniu i lutym 1820 roku odebrał po 20 tal., w marcu i następnych miesiącach po 100 złotych, miał jeszcze ks. Wax użytkowanie trawy dla swego bydła z 6 mórg łąk i wolne pastwisko dla dwóch krów w łęgu, jako też 6 zagonów w ogrodzie po prawej stronie wygonu. Przeciwko tym zarządzeniom wniósł ks. Jubilat protest i zażądał za pośrednictwem lantrata świeckiego, aby mu pozostawiono administracyą majątku klasztornego przy współudziale syndyka rządowego. Na wniosek ten odpowiedziała regencya kwidzyńska pod dniem 5-go marca 1820, iż ze względu na słabość ks. Waxa, którą wiek jego podeszły pociąga za sobą, zadosyćuczynić prośbie jego nie można; iż do wzbudzania nieufności w rzetelne zawiadywanie ze strony ks. Bieszka nie ma powodu, że rząd jednakże, aby zapobiedz wszelkim dotychczasowym sporom, powziął uchwałę, aby wyznaczyć księdzu Waxowi 400 talarów rocznie na utrzymanie, jeśli takowych będzie potrzebował. Gdyby ks. Wax nie miał być z tego zadowolony, to zarządzi się i wykona bez dalszych korowodów przesiedlenie jego do Kadyn (Cadiehnen, w powiecie elbląskim).

Ile ksiądz Wax w roku 1821 na swoje utrzymanie odebrał, nie wiemy. Z roku 1822 są jednakże kwity i to za styczeń i luty po 100 złotych, za marzec, kwiecień, maj i czerwiec atoli tylko po 50 złotych, wypłaconych przez ks. Bieszka, który na ten cel dwa razy po 50 talarów od rządu był otrzymał. Regencya kwidzyńska oświadczyła przy tem dnia 28-go marca 1822 roku księdzu Bieszkowi, że owe 400 talarów rocznej pensyi ks. Jubilata Waxa nie wyznaczyło się bezwarunkowo, przeciwnie, że pensya księdza Waxa nie może przechodzić dochodów klasztornych, które ks. Wax dotychczas pobierał. — Dla tego też poleciła regencya w reskryptach z dnia 1-go listopada 1821 roku i 8 marca 1822, ks. Bieszkowi, aby w wydatkach stósował się do przychodu i radził sobie w tym względzie jak mu się uda.

Rząd wychodził oczywiście z tego założenia, że majątek klasztorny zachowany być winien w całości dla fiskusa. Zgodnie z tem zapatrywaniem nazwano w reskrypcie z dnia 8-go marca 1822 roku wyznaczone na sustentacyę ks. Jubilata pieniądze (50 tal.) wsparciem, ponieważ masy klasztornej naówczas nie było. Nadmienić przytem wypada, iż dochody klasztorne, zwłaszcza, że w roku 1821 powódź zniszczyła trawę na łąkach klasztornych, nie przynosiły wtedy sumy, którą lantrat świecki dnia 20-go lutego 1820 roku był nakreślił, zdaje się nawet, że nie wynosiły 400 talarów, choć były preliminowane na 805 tal.

Tymczasem ks. Wax w pode-

[1]) Stajnię klasztorną upadkiem grożącą kazał ks Bieszk z upoważnienia komisyi kościelno-szkólnej w Kwidzynie z d. 8/4 1819 r. zerwać. Za materyał uzyskano na licytacyi d. 28/4 1819 r. 116 tal. 25 gr.

Roku 1820 stała jeszcze w ogrodzie chałupa ze stajenką. Budynki te wykluczone zostały z dzierzawy. Dachówek 2700 i drzewo z tej lub też innej stajni sprzedano d. 9/10 1820 r. za 76 tal. 42 gr.

W tym samym roku reparowano browar i mur wokoło podwórza klasztornego. Naprawa ta kosztowała 64 tal 14 gr. 10 f. i 9 tal 36 gr. Drzwi kościelne na korytarz wiodące zabił stolarz Andersz za 84 grosze. Naprawiono też płot ogrodu klasztornego, kupiono kłódki do zamknięcia bram klasztornych. Dla czeladzi Ojca Jubilata postawiono piec ceglany. Zegar klasztorny naprawiono; za nakręcanie zegara zapłacono 12 tal.

Roku 1822 odebrali robotnicy Marins i Most za zerwanie muru cmentarnego 24 gr. Reparowano znów zegar klasztorny.

Stodoła była jeszcze 1826 r.; przyniosła wtedy 13 tal. 10 gr. Mieszkania w zabudowaniach klasztornych mieli w r. 1826 Woliński, Siegler i Mo t. W tym roku wpłynęło z browaru już tylko 1 tal. 10 gr. Także r. 1826 wyrestaurował Sengebusch chałupę klasztorną za 9 tal. 24 sgr. 10 fen.

Z powodu przejazdu Jego Królewskiej Wysokości następcy tronu wydano r. 1826 na reparacyę bruku 15 gr., oczyszczenie ganków 3 tal. 6 sgr. i zasypanie dziur od pieca w kościele 5 sgr. Powyższe szczegóły wyjęte z rachunków ks. Bieszka.

szłym swym wieku, potrzebował więcej wygody i znaczniejszego nakładu. Dopóki sił mu starczyło, pracował on prywatnie, udzielając nauki w łacinie i innych przedmiotach synom obywateli nowskich [2]). W końcu zasłabł do tego stopnia, że owe 50 złotych miesięcznie mu już nie wystarczały, i cierpieć musiał, jak sam to wyznał, niedostatek. Do rachunków z roku 1822 dołączony jest kwit, który jest tego dowodem i opiewa dosłownie:

2 Thaler.

Schreibe 2 Thaler synd mir von dem Herrn Justiz-Raht im miener Noth gegeben, welche der Herr Probst im kurzen abgeben. Pr. Romanus Wax, Jubilat m. pp.

Von Herrn Dekan Biesk erstattet erhalten. Schulz.

(Po polsku:

2 talary.

Wyraźnie 2 talary dał mi w mej biedzie pan radzca sprawiedliwości, które Wiel. ksiądz proboszcz wkrótce odda. O. Roman Wax, jubilat, m. p.

Od ks. dziekana Bieszka odebrałem z powrotem. Schulz).

Charakterystycznem jest pismo z dnia 16-go kwietnia 1822 roku, które ks. Bieszk do regencyi wystósował. — Brulion takowego znajduje się w archiwum kościoła parafialnego nowskiego. Treść jego jest następująca:

Na mocy wysokiego rozporządzenia z dnia 28-go marca r. b. odebrałem znów 50 talarów, które mi wyznaczono na alimentacyą klasztorneego duchownego jubilata Waxa, przyczem jednakże, chcąc się ustrzedz wyniknąć mogącej odpowiedzialności, nieomieszkiwam nadmienić: W sprawozdaniu mojem z dnia 20-go z. m. udowodniłem, że owe 50 talarów, które ekstraordynaryjnie zostały wyznaczone, starczyły tylko na miesiąc styczeń i połowę lutego, że przeto p. Wax przez powyżej nadmienioną asygnacyą zaopatrzony jest tylko do końca marca. Ponieważ zaś przychodu z intrat klasztornych można się dopiero na św. Jan r. b. spodziewać, potrzeba więc jeszcze funduszu na utrzymanie ks. Waxa na kwiecień, maj i czerwiec. Chociaż ze względu na teraźniejszy chory stan Waxa nie przypuszcza się, że pozostanie on przy życiu aż do św. Jana, to jestto rzeczą zawsze niepewną i dla tego poczuwam się do obowiązku, starać się o to, aby ks. Wax w tych niewielu dniach żywota swojego głodu cierpieć nie potrzebował (die noch wenigen Tage seines Lebens nich darbendarf).

Królewska regencya wprawdzie asygnując mnie 50 talarów zaleciła mi oszczędność, nie wiem atoli, w jaki sposób mógłbym sprostać temu wysokiemu rozporządzeniu, dla tego zmuszony jestem prosić pokornie, aby mi zostały w tym względzie nie tylko bliższe wskazówki udzielone, lecz także i fundusz, którym pielęgnacyą ks. Waxa mógłbym załatwić.“

Wreszcie śmierć przerwała bolesny na stare lata żywot gwardyana Waxa i zakończyła korespondencyą o alimentacyą z rządem. Ks. Wax przeniósł się dnia 17-go czerwca 1822 roku do wieczności, opatrzony św. Sakramentami, licząc przeszło lat 78. Zwłoki jego złożono dnia 20 czerwca 1822 roku w kościółku św. Jerzego w Nowem, przed ołtarzem [3]). Koszta pogrzebu wynosiły 61 talarów 6 sgr. Była dwukrotna procesya wedle zwyczaju, był katafalk, duży i mały kondukt. W kościele farnym dzwoniono 16 pulsów. Świec paliło się 30, lamp 20. Prócz proboszcza Bieszka, który odprawił śpiewaną mszę św. żałobną, asystował przy pogrzebie miejscowy wikary ks. Miecznikowski. Zamiejscowych księży było 6, a mianowicie: ks. Józef Wierzbowski, ks. Waralski, proboszcz z Bzowa, ks. Gustowski z Komorska, ks. Antoni Staszewski, wikary z Lubienia, ks. Ignacy Mężyński, proboszcz z Pieniążkowa i ks. Bylang, proboszcz z Płochocina. Każdy z nich odebrał 1 talar 10 sgr. za uczestnictwo, Bieszk oprócz tego także inne kompetencye. Bito w dzwony klasztorne. Trumnę zrobił stolarz Stanisław Andersz za 4 tal. — Zwłoki nieśli Jan i Józef Górscy, Mateusz Gospodarek i Andrzej Popławski, za co odebrali razem 1 tal. 8 sgr. Za kopanie grobu odebrał Stanisław Łukowski 1 tal., pokładnego zapłacono do kasy kościelnej 3 tal. 10 sgr. Za ugoszczenie przybyłych na pogrzeb księży likwidował proboszcz Bieszk 9 tal. 10 sgr., a za podejmowanie ich sług i za obrok dla koni 4 tal. 10 sgr.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Złote listki.

— *Doświadczenie stwierdza, że ten, co nigdy nie ufa, zawsze będzie oszukany.*

— *Namiętność ducha wypędza żądze.*

— *Gdzie najwięcej uczucia, tam największe męczeństwo.*

Teodor Tomasz Jeż.

Pod tem przybranem i skróconem mianem T. T. Jeż znany jest więcej w całej Polsce niż pod własnym nazwiskiem czcigodny pułkownik Zygmunt Miłkowski, którego piękną patryotyczną powieść historyczną p. t. „Rzeź Pragi,“ rozpoczęliśmy drukować w niniejszym numerze. Zasłużony obywatel i żołnierz, znakomity pisarz więcej niż inni sławni dziś wśród swoich i obcych rodacy, powinien być znanym i drogim ludowi polskiemu.

Urodził się Zygmunt Miłkowski w roku 1824 we wsi Saracei, w powiecie bałckim na Podolu z matki Balbiny i ojca Józefa, porucznika wojsk polskich. Po ojcu i dziadzie Janie, chorążym w wojsku Kościuszki, odziedziczył usposobienie rycerskie. Ojciec jego, porucznik Miłkowski, był szczerym Polakiem i człowiekiem światłym. Lud w kraju zabranym dźwigał wówczas jarzmo poddaństwa, ale Miłkowski był raczej ojcem i opiekunem włościan, niż panem. Sam zresztą gorliwie pracował, bo nie był zamożnym, a miał liczną rodzinę. Szlachta mówiła o poruczniku Miłkowskim, „że ciągnie za chłopem,“ na co ten odpowiadał: „u mnie ten szlachcic, kto szlachetnie postępuje.“

W takim zacnym polskim domu spędził młode lata Zygmunt Miłkowski. W szkole miał już zatarg z nauczycielem Moskalem, który młodzież polską prześladował. Następnie ukończył wyższą szkołę w Odesie i pojechał do Kijowa, gdzie doszła go wiadomość o przygotowanem wówczas powstaniu. Był to pamiętny rok 1848, kiedy w całej Europie paliły się serca i głowy kiedy ciemiężone ludy zrywały się do walki za wolność.

Po naradzie z ojcem, który mu powiedział: „idź synu, leć na służbę krajowi i braciom twoim, nie żałuj siebie,“ Miłkowski wyruszył do Galicyi. Nie długo jednak siedział bezczynnie, na wieść o powstaniu Węgrów pospieszył z dwunastu ochotnikami i zaciągnął się do polskiego legionu jako prosty żołnierz. W ciągu wojny brał udział w wielu krwawych bitwach z Austryakami i Moskalami i rychło otrzymał stopień oficerski.

Po upadku powstania węgierskiego Miłkowski z wielu innymi Polakami przeszedł granicę turecką. Turcy na żądanie Rosyi i Austryi uważali powstańców jako jeńców, ale dawali im zupełną niemal swobodę. Wreszcie w roku 1850 pozostawili naszym do wyboru: albo zostać w Turcyi, albo wyjechać do Anglii.

---

[2]) Opowiadania Hermanna Hübschmanna z r. 1892, który także jego był uczniem.

[3]) Księga zejścia: „Die 17 Junii 1822 mortuus est Adm. Reverendus Romanus Wax Pater Jubilatus Ordinis S Francisci strictioris Observantiae, annorum 78 aetatis suae, Sacramentis moenitus Sepultus vero die 20 ejusdem in Capella S. Georgii.“ Wiadomość o miejscu grobowem od kopacza Fredera 1890 r.

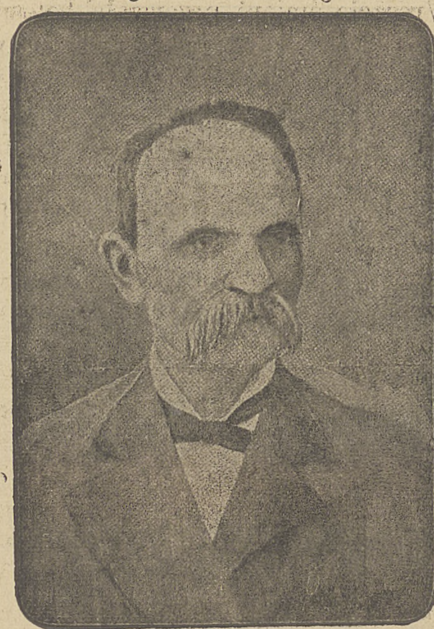
Miłkowski wybrał Anglię i szczęśliwie przybył do Londynu po wielu ciekawych i niebezpiecznych przygodach. Tam spotkał się z rodakami wygnańcami i przystąpił do „Towarzystwa demokratycznego,“ które sprawę wyzwolenia Polski łączyło ze sprawą uwolnienia ludu od pańszczyzny i poddaństwa i nadania mu wszystkich praw obywatelskich.

Przed wojną krymską pospieszył Miłkowski powtórnie do Turcyi i w ciągu kilku lat zwiedził dokładnie kraje naddunajskie — Rumunię, Bułgaryę i Serbię. Łudził się, jak inni nadzieją, że Anglia i Francya, które wojowały z Rosyą, wywołają w Polsce powstanie. Gdy go ta nadzieja zawiodła, został przez czas jakiś w Konstantynopolu i wtedy zaczął pisać, pragnąc w ten sposób służyć sprawie narodowej. „Piszę — powiada — bo nie mam co innego robić. Piszę więc nie dla pisania, ale dla zastąpienia tego co innego, czego dziś nie mogę robić. Jestem przeto zastępcą tymczasowym, bo robota moja czeka na mnie i ja na nią czekam.“ Tą robotą, na którą czekał, była walka zbrojna za wolność ojczyzny. Ale chociaż tymczasowo, jak sądził, zamienił szablę na pióro, okazał się znakomitym pisarzem. Powieści jego odrazu zyskały rozgłos. Pisał nie dla sławy lub dla zabawy, ale dla pożytku ogólnego, oświecał i nauczał, karcił i zapalał. Mówił śmiało prawdę w oczy szlachcie i wzywał ją do zajęcia się ludem i jego dolą, wykazując niejednokrotnie, że tylko wolny człowiek może być prawdziwym obywatelem.

Tymczasem zbliżała się ta „robota,“ do której Miłkowski tęsknił. Naród przygotowywał się do walki, Miłkowski przeniósł się do Galicyi, tajemnie odwiedził Warszawę. W czasie tych przygotowań ożenił się w Galicyi z panną Zofią Wróblewską, która odtąd była wierną jego towarzyszką w złej i dobrej doli.

Mianowany pułkownikiem utworzył w Turcyi oddział powstańczy, z którym przez Rumunię chciał przedostać się na Podole. Chociaż Polacy nic złego Rumunom nie robili, rząd wysłał przeciw nim wojsko, które otoczyło powstańców. Pułkownik Miłkowski wiedział, że na Podole przedostać się już nie może, ale nie chciał złożyć broni bez bitwy i postanowił dać nauczkę przeniewierczym Rumunom. Pod Konstangalią powstańcy uderzyli na dwa razy liczniejsze wojsko rumuńskie i odnieśli zwycięstwo. Za daleko jednak było do granicy, gdzie zresztą czekali już Moskale i oddział powstańczy musiał w kilka dni po zwycięstwie złożyć broń. Miłkowski chciał następnie inną drogą pospieszyć na pole walki, przybył więc z Turcyi do Galicyi, ale tu schwytali go i uwięzili Austryacy i po pewnym czasie odstawili do granicy szwajcarskiej.

Po upadku powstania Miłkowski nie załamał rąk rozpacznie, nie stracił wiary w przyszłość narodu. Tacy jak on ludzie hartowni duchem i sprawie na-



Teodor Tomasz Jeż.

rodowej gorąco oddani, nie zrażają się niepowodzeniem, ale badają przedewszystkiem przyczyny klęski i popełnione błędy, żeby ich następnie uniknąć.

Przez lat kilka po roku 1863 mieszkał pułkownik Miłkowski w Serbii, później w Belgii, wreszcie w r. 1872 osiadł w Szwajcaryi, gdzie dotychczas z rodziną mieszka. Robota tymczasowa — pisanie — stało się odtąd stałem jego zajęciem. W licznych powieściach T. T. Jeż — bo tak się stale podpisuje — przedstawia chlubne wspomnienia i błędy przeszłości oraz stosunki dzisiejsze i wymownemi słowy krzepi ducha narodu. Sam pułkownik jest skromnym, cichym i serdecznym staruszkiem jak gdyby nie wiedział o swej sławie i swych zasługach. Nie wszyscy sławni ludzie są tacy skromni, ale tylko prawdziwie wielki i zasłużony człowiek takim skromnym być umie.

Twardy i gorzki jest chleb wygnańca i ciężko go zdobywać nawet sławnym ludziom. Znojna praca nie dała T. T. Jeżowi bogactwa, nie dała mu nawet dobrobytu na starość.

Społeczeństwo polskie nie szczędziło mu uznania, między innemi w roku 1882 wydano dla niego księgę pamiątkową p. t. *Ognisko* w Warszawie, w r. 1894 podejmowano uroczyście go we Lwowie podczas wystawy. T. T. Jeż silnym nigdy nie schlebiał, przeciwnie mówił zawsze prawdę w oczy, występował w obronie pokrzywdzonego ludu, w obronie słabych i upośledzonych, potępiał surowo wady i zbrodnie możnych, mówił głośno o wolności i niepodległości Polski i karcił tych, którzy radziby o ojczyźnie zapomnieć i zbratać się z wrogami byle im się dobrze działo.

Ale właśnie za to, za co możni i silni go nie lubią, czcić go powinien cały lud polski, o którego prawa on zawsze głośno się upominał, cały wielki naród polski, o którego przyszłości on nigdy nie wątpił. *Polak.*

Na jagody.

Hej dziewczyno, na jagody,
Pójdźże ze mną w las!
Tyżeś młoda i jam młody,
Weźmiem sobie dzban od wody,
Nazbieramy wraz,
Pełniutko,
Ino ze mną w las,
Jagódko,
Pójdź kochanie w las!

W lesie jagód nie brakuje,
Gdyby makiem siał,
Lasowy nie upilnuje,
Dzban się migiem naładuje,
Bym cię ino miał,
Malino,
A ślub ksiądz nam dał,
A ino!
Tożbym jagód miał!

Z lasu, wrócim wczas do siebie,
Powrócimy wczas,
A gdy będziem na swej glebie,
Ja usiądę wedle ciebie,
Będziem jedli wraz
Jagody,
Póki jeszcze czas
Na gody,
Ja raz — to ty raz.

Stanisław Bartoszewicz.

Na wyspach Faroer.

Jak wiadomo, są na ziemi okolice takie, ba, nawet w naszej części świata, w Europie, gdzie stale, z roku na rok, przez dziesięć miesięcy z okładem deszcz pada prawie nieustannie, niebo zawsze zakryte chmurami. A jednak ludzie żyją tam, co więcej, ludzie ci, choć chmurne mają oblicza, ale w umysłach ich i w sercach przeważnie pogoda panuje.

Do takich okolic należą wyspy Faroer, na oceanie Atlantyckim, na drodze z Danii do Islandyi. Mieszkańcy tych wysp odcięci od świata, bo zaledwie parę razy na

miesiąc statek pocztowy przywozi im wieści z Europy — już wyglądem swym mogą budzić zazdrość wśród mieszkańców stałego lądu. Wysokiego wzrostu, dobrze zbudowani, cieszą się zdrowiem i długiem życiem. Jakoś im te ich deszcze ciągle nie szkodzą. Ale bo też i klimat mają zdrowy, jednostajny; lato niewiele różni się tam od zimy, mróz jest prawie nieznany, upały nigdy nie dokuczają, śnieg choć spadnie w zimie, lecz zaraz topnieje pod wpływem ciepłych prądów Golfstromu.

Faroerczycy, „wierni poddani króla z Kopenhagi,“ jak się sami nazywają, są Norwegami z pochodzenia, mówią tylko po norwesku i to językiem, jakim na półwyspie Skandynawskim przed paru wiekami mówiono. Norweski też charakter jest ich rysem zasadniczym: poważni, wytrwali, odważni aż do szaleństwa, a równocześnie łagodni, wobec kobiet ulegli, względem obcych gościnni, serdeczni.

Kraj ich jest górzysty; o strome skały nadmorskie rozbijają się spienione fale oceanu, gnane szalonemi burzami, które tu są stałym gościem. A wichry tych burz tak są straszne, iż żaden ze znanych nam sposobów nakrywania domostw nie oparłby się ich sile. Faroerczyk więc dom swój pokrywa materyałem, który największym wichrom oprzeć się potrafi: ziemią i darniną. Stąd też dachy na domach wyglądają tam niby małe łączki. Rola rodzi tylko jęczmiona i ziemniaki; na inne zboża lub okopowizny za mało tam ciepła. Za to trawy nie brak; owce też pasą się w licznych stadach, wielkiemi gromadami.

Ale hodowla owiec, to zajęcie zbyt leniwe dla Faroerczyka; woli on na wątłej łodzi puszczać się na burzliwe morze za połowem ryb rozmaitych; najmilszem zaś jego zajęciem jest chwytanie ptaków. A jest ich tam mnóstwo. Żyją na skałach, od strony Golfstromu, w takich ilościach, że gdy gromada nastraszona zerwie się do lotu, tworzy chmurę wielką, gęstą, jeszcze bardziej zasłaniającą światło słoneczne i tak niezmiernie rzadkie na tych wyspach.



Skoro łodzie, napełnione ptactwem przybijają do brzegu, na młodzież spada obowiązek odstawiania zdobyczy do domów..

Ptaki owe żyją na urwiskach skalistych, zwanych tam „ptasiemi górami.“ Dostęp do urwisk tych jest nadzwyczaj trudny; piąć się trzeba niemal po stromej ścianie. Jeden krok fałszywy, jedna chwila nieuwagi, a śmiałek spadnie, roztrzaska się o skały lub utonie w głębiach burzliwego morza. Faroerczyk znalazł do nich drogę... przez powietrze. Zabiera on ze sobą koszyk z żywnością na dni kilka, oraz drąg, długi na 3—5 łokci, na którego końcu uwiązuje dużą mocną siatkę — podobną do naszych siatek na motyle, lecz znacznie większą, mocniejszą. Chwytanie ptaków w locie w taką siatkę — to największa przyjemność Faroerczyka.

Wybiera się więc w towarzystwie kilku znajomych na szczyt stromej skały nadmorskiej; na skale tej, nad morzem, sterczy urwisko, niby gzyms, wystający na dwie lub trzy stopy od ściany skalistej. Towarzysze mają sznur mocny, długi na parę set łokci, zakończony grubym węzłem. Udający się na wyprawę siada na ów węzeł, a towarzysze spuszczają go w przepaść. Drągiem od siatki odpycha się od skały, aby się o nią nie rozbił, wreszcie dostawszy się do owego urwiska-gzymsu, daje szarpnięciem liny znak umówiony. Towarzysze zatrzymują się, przywiązują linę mocno u kamieni, Faroerczyk zaś zasiada ze swą siatką na owem urwisku, zawieszony między niebem a ziemią. Przebywa tam nieraz dwie i trzy doby. Żywność ma w koszyku, a na nudy skarżyć się nie może, bo ptactwo, chwilowo spłoszone, wraca po chwili do swej siedziby, jakby koniecznie chciało dostać się do siatki.

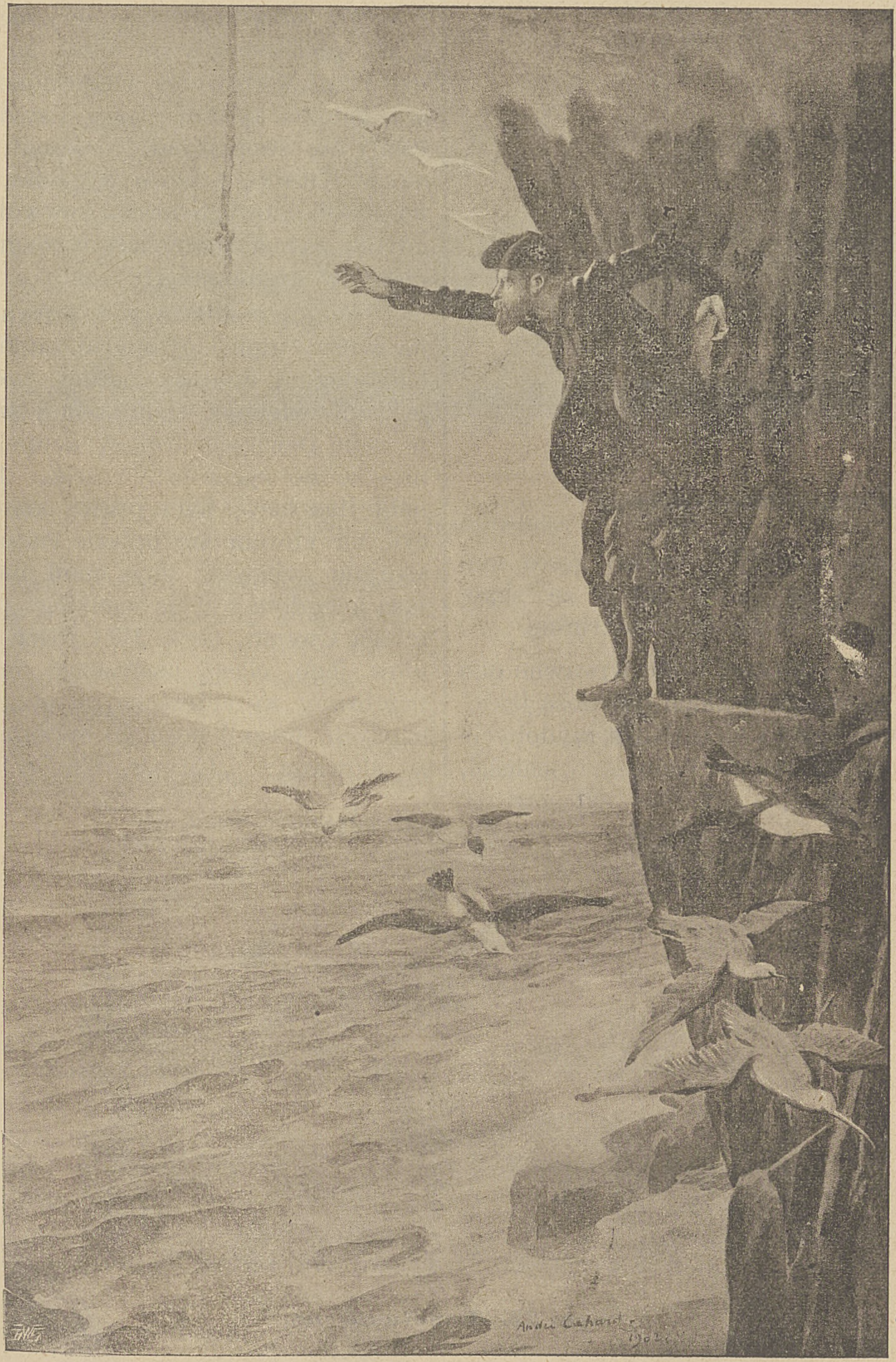
Śmiały łowca, mający pod swemi stopami maleńką, wystającą skałę, wywija swą siatką zręczniej, niż najzręczniejszy z naszych chłopców łowiących motyle. Każdemu złowionemu ptakowi ukręca łeb na poczekaniu i rzuca go na dół, do morza. Tam już znajomi, snujący się koło brzegów na łodziach, wyłowią tę zdobycz. Zręczny myśliwy, gdy trafi na „dobre miejsce,“ złowi w ten sposób 300—500 ptaków w ciągu dnia jednego.

W dzień nie obawia się on upadku, choć niebezpieczeństwo grozi mu nieustannie; zbyt jednak jest roztropny i uważny, aby narazić się na śmierć nieuchronną. Ale w nocy człowiek nie jest panem swych zmysłów, Faroerczyk więc przywięzuje się sznurem do wystających odłamów skały i tak — zwykle siedząc — przesypia noc w towarzystwie gnieżdżących się w jego sąsiedztwie ptaków.

Co wieczór towarzysze przychodzą na szczyt skały i za pomocą odpowiednich ruchów liny zapytują myśliwego, czy chce wracać, czy też pozostać na noc na stanowisku.

Łatwo domyśleć się można, że wyprawy takie obfitują w wypadki straszne. Ale Faroerczyk zwykle wychodzi z nich obronną ręką, nieraz kosztem wysiłków iście bohaterskich, które później w długie wieczory zimowe, stanowią treść opowiadań u domowego ogniska. Dr. Jan Charcot, znany światu całemu ze swych badań w zakresie chorób nerwowych, bawił w roku 1902 przez czas pewien na wyspie Strömö, w Thorshaven, stolicy wysp Faroerskich. Pokazywano mu tam człowieka, który był właśnie bohaterem jednego z takich wypadków. Faroerczyk ów został spuszczony, jak zwykle w podobnych razach, na długiej linie. Gdy już znajdował się w głębokości przeszło 200-tu stóp, towarzysze odczuli znak dany liną: „zatrzymać,“ uwiązali więc linę i odeszli. Tymczasem Fareorczyk spostrzegł, iż dał zły znak, urwisko bowiem zbyt było małe i wązkie, aby się na niem dłuższy pobyt opłacił. Nie mając jednak nic lepszego do zrobienia, postanowił „wylądować.“ Zwykłym tedy sposobem, siedząc jeszcze na węźle, za pomocą drążka od siatki wprowadził linę w ruch wahadłowy, a zbliżywszy się w ten sposób do urwiska, chwycił się ska-

ły i stanął na gzymsie. Niestety, w chwili gdy chciał linę przywiązać, wykonał ruch nie dość zręczny i... lina wymknęła mu się z rąk a równocześnie siatka z drążkiem spadła do morza. Daremnie Fareorczyk wyciągnął rękę. Lina była zbyt daleko!... Dreszcz chwilowej trwogi wstrząsnął jego ciałem.



Daremnie Faroerczyk wyciągnął rękę... lina była zbyt daleko!...

Pod nim przepaść bezdenna oceanu, nad nim skała stroma. Nie stracił jednak przytomności. Zebrał wszystkie siły i skokiem, prawdziwie nadludzkim, dosięgnął rękami liny i zawisł nad przepaścią. Reszta już była dlań bagatelą; wdrapać się po linie na wysokość 200-tu stóp, to każdy zręczny Fareorczyk potrafi. Tym razem jednak nawet wśród najodważniejszych swych rodaków znalazł słowa uznania.

Obawa niebezpieczeństw i wypadków nie odstrasza na wyspach Faroer nikogo od wypraw podobnych. Każdy chłopiec niecierpliwie oczekuje ukończenia lat 15-tu, bo wówczas dopiero wolno mu udać się z siatką na łów, a gdy wyprawa się uda, prócz zdobyczy, osiąga jeszcze niejako patent na dojrzałego człowieka. Przed 16-tym rokiem chłopcu nie wolno uczestniczyć w wyprawach na ptaki. Zadawala on się tylko czynnością pomocniczą: skoro łodzie, napełnione ptactwem przybijają do brzegu, na młodzież spada obowiązek odstawienia zdobyczy do domów.

Gdy nadejdzie zima, wolno im za to słuchać opowiadań i przyglądać się, jak ojcowie grają w szachy. Jedyna to gra rozpowszechniona na tych wilgotnych wyspach. Zkąd się tam dostała, niewiadomo, ale w czasie zimy jest tak namiętnie uprawiana, jak w innych porach roku chwytanie ptaków w siatkę. *E. S.*

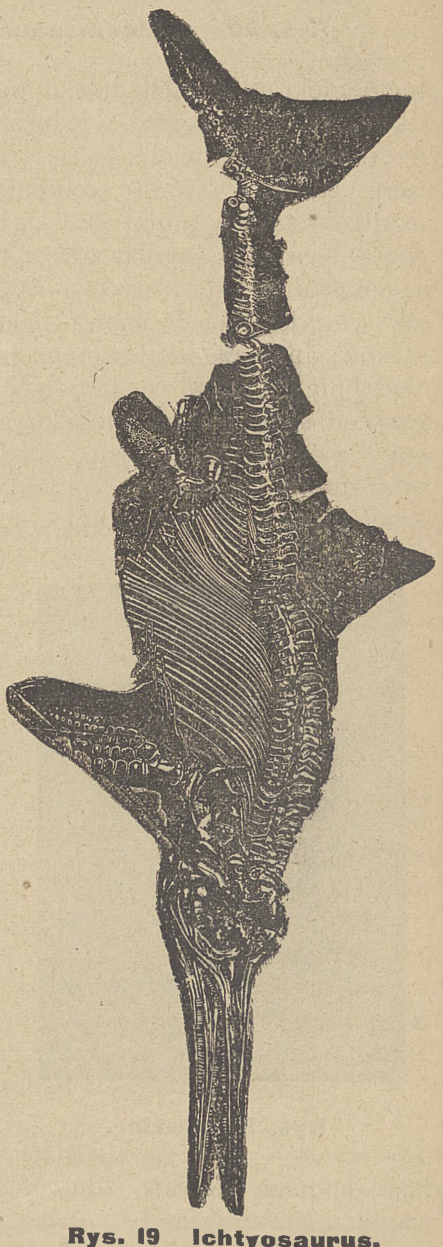
Zwierzęta przeszłości.

(Ciąg dalszy).

Tak samo płucodysznym był i drugi jaszczur wodny — ichtyosaurus czyli rybojaszczur (rys. 19). Wielkości tej, co i plesiosaurus, postacią swoją rybojaszczur delfina trochę przypominał.

Licznie zachowane szczątki pozwoliły uczonym określić pewne cechy ichtyosaurusa: ich skamieniałe ekskrementy kształtem swym wskazały budowę prostej kiszki zwierzęcia, a małe rybojaszczury, znajdowane wewnątrz ciała starych, świadczą wymownie, w jaki sposób odbywało się rozmnożenie tych zwierząt.

O ile z budowy pletw mamy wyprowadzać wnioski, to ani plesiosaurus, ani ichtyosaurus na ląd nie mogły wychodzić. Również zdaje się, i morskie



Rys. 19 Ichtyosaurus.

jaszczury, przedstawione na rys. 20, tak zwane węże morskie musiały się środowiskiem wodnem zadawalać, nie mając możności wybrzeża odwiedzać. My dzisiaj z trudnością ledwie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie podobne

olbrzymy, których długość, jak szczątki wskazują, sięgała stóp 80.

Przechodząc do mezozoicznych jaszczurów lądowych, możemy przypuszczać, że miały one na lądzie pokarm w obfitości, a zresztą nie zaniechały pewnych stosunków z morzem.

Żyjąc więc w takich pomyślnych warunkach, niektóre z nich daleko posunęły swój fizyczny rozwój: jedne, jak gdyby postanowiły wielkością — rozmiarami zadziwić swoje otoczenie, i w rezultacie takich ambitnych dążności powstał gatunek jaszczurów olbrzymich, jaszczurów strasznych — dinosaurów, jak je określa nazwa paleontologiczna; inne zaś, szkieletem, prawdopodobnie lżejszym obdarzone, zacząwszy od skakania na większe przestrzenie, później na gałęzie drzewa, zdobyły stopniowo możność przebywania czas dłuższy w powietrzu — posiadały jednem słowem zdolność do fruwania. Naturalnie, jednocześnie z tem i organizacya ich zmianie uległa, a paleontologia te „nowe“ zwierzęta mianem pterosauria — ptakojaszczury — nazwała.



Rys. 20. a) **Elasmosaurus,** b) **Clidastes,** c) **Mosasaurus.**



Rys. 21. Cuvier.

Bardzo nieliczne pośrednie formy zwierzęce, odnoszące się do wskazanych tutaj cyklów przeobrażeń, stały się dotychczas nam znane; możemy nad tem ubolewać, ale dziwić się nie możemy temu, wobec trudności, z jakiemi połączone jest, o czem mówiliśmy poprzednio, przechowanie szczątków zwierząt lądowych. Zresztą zauważyć trzeba, że wydobywanie ze skał tych szczątków zwierzęcych, tych szkieletów, kości skamieniałych, często gęsto nierozdzielną na pozór całość ze skałą tworzących, bywa bardzo trudne.

Niejednokrotnie tylko wprawne oko może zauważyć w skale obecność jakiegoś zwierzęcego szczątka, a wydobycie go ze skały bez uszkodzeń, w całości, jeżeli był to, naprzykład, szkielet jakiegoś olbrzyma, to sprawa mozolna i wcale nie łatwa. Mimo jednak to wszystko w każdym z większych gabinetów paleontologicznych spotkamy niejeden szkielet lub odcisk w kamieniu, zostawiony nam w spadku przez owe mezozoiczne pragady: dinosauria i pterosauria. Tu uważam za konieczne dodać, że szkielety, znalezione niepełne, mogły być uzupełnione przez uczonych na rysunku i nawet w ciało obleczone z wielką dozą prawdopodobieństwa, na zasadzie znajomości prawa, panujące go wszechwładnie w przyrodzie, a warunkującego pewne wzajemne ustosunkowanie się części organizmu, zdolnego do życia. Objaśnię to na paru przykładach: zwierzę na wysokich nogach musi być długą obdarzone szyją, inaczej nie mogłoby zdobyć pożywienia; o zwierzęciu, którego szczęki uzbrojone są płaskimi zębami, możemy powiedzieć z pewnością, że pokarm ono przyjmuje roślinny, a więc i odpowiednio zbudowany posiada żołądek; zwierzę o silnie rozwiniętych kończynach tylnych, podczas gdy przednie są słabe, ma i tułów również niejednakowo w przedniej i tylniej części rozwinięty; każdy to, naprzykład, u kangura widział. Oto są typowe wypadki, które wynikają z owego prawa, wywołującego tak zwaną koordynacyę rozmaitych części w organizmie.

Umiejętne stosowanie prawa tego, na wiedzy głębokiej oparte, oddaje paleontologom doniosłe usługi, pozwalając im zwierzęce skamieniałe szczątki w razie pewnych braków uzupełniać i niejako do życia przywracać. Doskonałą ilustracyę tego prawa koordynacyi, na którem się opiera budowa ustrojów żyjących, daje nam następująca anegdota z życia wielkiego paleontologa Cuviera (rys. 21): jeden z uczniów jego, chcąc nastraszyć mistrza, przebrany za któreś ze zwierząt wymarłych, wszedł nocą do sypialni jego ze słowami: „Cuvier, Cuvier!... zjeść cię przyszedłem“. Uczony przebudzony ze snu, przetarł oczy i, dojrzawszy u potwora kopyta i rogi, zawołał z uśmiechem: „Co? rogi, kopyta! toć to trawożerne... Ty mnie jeść nie będziesz“. Myślę, że po takiej lekcyi, prawo koordynacyi ów uczeń zapamiętał dobrze. Ale wracajmy do rzeczy. Chcę pokazać szan. czytelnikom kilku z takich „wskrzeszonych“ dinosaurów i pterosaurów, występując przytem w roli właściciela czy dozorcy mezozoicznej jakiejś menażeryi.



Rys. 22. Brontosaurus.

Zacznijmy od brontosaura (rys. 22); o ile sądzić z naszego obrazu, wyglądał on jak gdyby z dwóch stworzeń złożony, jak gdyby do tułowia czwo-

ronoga jakiegoś przyprawiono koniec i przód olbrzymiego węża; że był to olbrzym niepowszedni, świadczą znalezione szczątki, na podstawie których długość brontosaura na 60 stóp możemy określić. Wobec niego malcem się pewnie wydawał inny dziw, noszący nazwę iguanodon (rys. 23); oddzielne części szkieletu jego znalezione były w Anglii, w pierwszej połowie zeszłego stulecia, ale były to dosyć skąpe szczątki, które nie dawały dokładnego pojęcia o kształtach zwierzęcia; dopiero przed laty dwudziestu, w pewnej okolicy Belgii, natrafiono na miejsce, które w erze mezozoicznej stanowiło ogromnej głębokości wąwóz; zasypany w ciągu wieków okruchami skał różnych i z poziomem dokoła zrównany, dzisiaj tylko wobec geologów zdradza on swoją obecność; otóż, rozkopując w celach przemysłowych te miejsca (znajdują się tam kopalnie węgla kamiennego), napotkano na dnie owego wąwozu szczątki rozmaitych zwierząt, a w tej liczbie i kilkunastu iguanodonów. Przypuszczalnie zwierzę miało wygląd podobny do rys. 23; długi był ten malec, jakeśmy się wyrazili „tylko'' stóp 30; żywił się pokarmem roślinnym, to też szczątki jego z przodu pozbawione zębów, były prawdopodobnie, jak u żółwi, warstwą rogową pokryte; olbrzymi ogon mógł podpierać ciało, ale niewątpliwie służył zwierzęciu i w czasie pływania; nareszcie broń posiadał iguanodon niewyszukaną i małych rozmiarów; oto ostrym kolcem w rodzaju ostrogi na przednich kończynach raził swoich wrogów. *A. Kudelski.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Rys. 23. Iguanodon.

Z teki tetryka.

— Źle czynisz, jeśli chwalisz, gorzej jeszcze, jeśli zniesławiasz rzecz, której dobrze nie rozumiesz.

ŻNIWA.

Hej oracze, idą żniwa!
Sierpów trza się jąć,
Już przepiórka woła, wzywa
Pójdźcie, pójdźcie żąć!

W złotem słońcu łany złote,
Gnie się ciężki kłos,
Dzwonią sierpy na ochotę,
Iskry lecą z kos.

Szumią, szumią zbożne niwy,
Niesie ziemia plon,
Nowe życie, czas szczęśliwy,
Starej biedzie zgon.

Hej, my siali, my orali
Własny zagon swój
I tej ziemi wszystko dali,
Łzy i krew i znój.

Dziś się kłosy gną na łanie,
Praca woła nas,
Niech do żniwa każdy stanie,
Czas oracze, czas!

Własny zagon, własna gleba,
Śmiały, dzielny lud —
Nic od obcych nie potrzeba,
Nasz tu pot i trud.

Ale nas zbaw ode złego.

(Obrazek).

— O rety! rety! Aby choć nie grad! Aby choć nie grad! Dyć tyle naszego, co tej pszenicy... — żegna się stara Maciejka suchą, czarną ręką o palcach wykrzywionych od pracy i reumatyzmu.

Siwa jej głowa trzęsąc się na zwiędłej szyi, raz w raz wychyli się trwożnie po za próg chałupy i z poza pleców męża, buremi, okrągłemi oczami, wytrzeszczonemi jak u jastrzębia, popatrzy w stronę zachodu, skąd wysuwa się leniwie długa, czarna chmura...

Przed chwilą jeszcze żar — upał, aż oddech zapierał. Martwo było od skwaru, ani listek nie drgnął w parnej, dusznej, tłoczącej piersi ciszy słonecznej.

Ni źdźbło się nie ruszyło — ni kłos nie pochylił na łanie pszenicy, złocącej się przed chałupą, podanej ku ziemi, jakby omdlałej bezwładem gorąca.

— Cichajże! Cichaj! Ot lepiejbyś ziele święcone wyniesła, — odgania chłop żonę przyciszonym głosem, jakby w obawie, żeby się nie sprawdziły jej słowa, jeżeli je chmura usłyszy. — „Dyć'' widzi ją i on, ale nie wymówiłby za nic jej „imienia'' — broń Boże, jeszcze „w złą'' godzinę.

Patrzy tylko na ciemny wał, pełznący od zachodu wydłużonym łukiem — smagany od czasu biczami błyskawic, co niecierpliwe zniszczenia i burzy — siec zdają się chmury i naglić do lotu...

Patrzy i brudną szmatą ociera pot, spływający mu po czerstwej jeszcze, czerwonej twarzy, po rozczochranych, kasztanowatych włosach, zlepionych na świecącem się czole, nabrzmiałem sinemi żyłami...

. . . .

A wał na zachodzie przybliża się — grubieje — wydyma niby w olbrzymi kadłub jakiegoś czarnego potworu, co z paszczy spragnionej raz po raz złotymi ogniami rozbłyska.

. . . .

Nagle szum-gwizd jakby rozpędzone stado ptactwa przeleciało powietrzem.

Zadrżały liście na drzewach — rozchwiały się gałęzie — zatrzeszczały — stęknęły konary.

Zakołysał się złoty łan pszenicy — zaszeleścił sucho — do ziemi przypadł ciężkimi kłosami.

. . . .

W tem drugi gwizd — silniejszy — zimny — lodowy, jakby późna jesień wpadła nagle w roztlony skwar lata.

I jak w jesieni sypią się zerwane z drzew liście, po podwórzu się kręcą, błędnem kołem wirują po ziemi, i z piaskiem zmięszane biją Macieja po twarzy czerwonej — po opalonej piersi widnej z pod rozchełtanej koszuli, od wichru w kształt żagla mokrego na plecach chłopskich wydętej.

. . . .

A Maciek jak wkuty stoi w progu chaty i to na chmury spogląda, to na babę, co je zielem święconem przez okno odpędza — to na pszenicę w tysiączne wiechcie wichrem skręcaną — to znowu niby w strachu śmiertelnym rozwianą rozpacznie po polu, jakby chciała gwałtem wyrwać się z niego i uciec gdzieś — schronić się przed ślepym szałem żywiołu.

Już coraz bliżej nawała — coraz bliżej — i coraz zimniejszym wszystko owiewa oddechem. I znów zygzak świetlany rozdarł wnętrze chmury, a za nim trzask suchy — i grom i łomot, aż brzękły szyby w oknie chałupy, aż się zatrzęsła w dębowych posadach.

. . . .

— „A Słowo Ciałem się stało!“ I do chaty chłop cofa się — i drzwi za sobą zapiera — i gnie się we dwoje na glinianej podłodze izby.

Przy nim krzyżem leży żona — i pękiem ziół suchych w suchej czarnej ręce strwożone oczy od błyskawic przesłania.

. . . .

O szyby okienka dźwięczą — biją — sieką strugi deszczu, ciskane orkanem — chłostane wichrem.

W kiry skryło się słońce — zćmił się dzień, noc szaleje nad światem — widna tylko błyskami piorunów.

. . . .

W sine ich światło chyli się głowa chłopa kudłata i ręce jego żony wznoszą się z zielem ku oknu — a w ryk gromów idzie przetrwożone błaganie modlitwy: „Ale nas zbaw ode złego!“

. . . .

Jan Andruszewski.

Ostatnia chwila skazańca.

(Humoreska.)

— „Los mój jest zdecydowany“ — rzekł — niema już żadnej nadziei; trzeba kończyć rachunki z tem życiem. Za parę godzin będzie po wszystkiemu, ale wierzcie mi przyjaciele, że nigdy się nie spodziewałem, iż tak źle skończę“.

— „Nigdyśmy nie wątpili o twej niewinności;“ — odparliśmy — „widzisz przecież, że żaden z nas nie opuścił cię w tej ciężkiej chwili, bądź więc mężem“...

— „O!“ — przerwał sam — „ja się nie lękam; prędzej, czy później, musiało to się stać! a o to „jak“ nie chodzi. Nie — to nie jest trwoga, to jakieś dziwne uczucie, jakaś piekąca ciekawość, jak to będzie tam — w tem innem życiu“.

Czyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, by podnieść na duchu naszego przyjaciela, którego nam wydzierano w tak okrutny sposób. Staraliśmy się wyczytać mu z oczu każde życzenie.

— „Chodź“ — mówiliśmy — „i popatrz na stół, który kazaliśmy zastawić twemi ulubionemi potrawami“.

Wzdrygnął się.

„Warta- przedśmiertna“ — szepnął. Potem usiadł i jadł starając się całą siłą woli otrząsnąć z przygnębienia. Jadł jak automat.

Potem wyjął z kieszeni fajeczkę i spojrzał na mnie ze smutkiem.

„Wiecie moi — drodzy“ — urwał — „że nic nie jest mi tak przykrem, jak rozstanie się z tą moją najwierniejszą przyjaciółką. Moja ostatnia fajka!“

Uroczyście nałożył ją, i zapalił, z namaszczeniem wciągał w siebie dym i powoli go wypuszczał jakby mu było trudno się z nim rozstać. Pobladł, a wargi jego drżały od wewnętrznego bólu.

„Ostatni raz“ — wyjęczał i wtem — nie wiem jak to się stało, ale usłyszeliśmy stuk — i już tylko skorupki z fajki leżały na ziemi. A on patrzał na mnie długo — wzrokiem, którego nigdy nie zapomnę.

Potem wstał. Powiódł ręką po rozpalonem czole i przygładzał włosy.

„Oto początek końca“ — szepnął i wyciągnął ku nam ręce do pożegnalnego uścisku. A nam wzruszenie tłumiło słowa pociechy na ustach.

Następnego poranku wyruszył w tę ciężką drogę. Był blady, ale spokojny. Oczekiwał go kapłan w kaplicy. My szliśmy za nim. Jeszcze raz rzucił nam wymowne sporzenie, pożegnanie, na zawsze, wstąpił na stopnie... na stopnie ołtarza i połączył się węzłem małżeńskim z piękną panną Zosią — posażną i nie znoszącą dymu jedynaczką hr. Dziumdziulińskiego!

Dziś *już nie pali, nie pije, ale — popłacił — długi.* *A. K.*

Myśli
z pism Leonarda da Vinci.

— *Nauka jest kapitanem, a praktyka to żołnierze.*

— *Ci, którzy lubują się w praktyce bez nauki, są jako pilota, wstępujący na okręt bez steru i bez kompasu i nie posiadający nigdy pewności, dokąd okręt zdąża. Praktyka musi być zawsze budowaną na dobrej teoryi.*

— *Zdobądź w młodości to, co naprawi szkodę twej starości. Jeśli pojmujesz, że mądrość jest karmą starości, to żyj za młodu tak, aby starości twej nie zbywało na pokarmie.*

— *Cierpliwość czyni z krzywdami nie inaczej, jak odzież ze zimnem. Jeśli przymnożysz szat stosownie do wzmagającego się zimna, to ci ono nie zaszkodzi. Wzmocnij przeto cierpliwość względem wielkich krzywd, a nie zdołają one duszy twej zranić.*

Kilka słów o alkoholizmie.

Skutki pijaństwa są powszechnie znane, prof. Kraepelin ze zgrozą nadmienia, iż w zakładach leczniczych pruskich przebywa rok rocznie 10 do 11000 pijaków, a w domach dla obłąkanych 10—30 proc. chorych cierpi wskutek nadmiernego używania napojów wyskokowych. Zatrucie organizmu alkoholem może spowodować najrozmaitsze choroby — jedne są uleczalne, inne znów kończą się śmiercią. Często napozór zdrowy człowiek, pijący niewielkie stosunkowo dozy, odrazu podlega napadowi jakiemuś, rzuca się, bije głową o ścianę, chce zabić swych mniemanych prześladowców, a niekiedy nawet odbiera sobie życie; po przejściu ataku przez pewien czas jest jeszcze niezupełnie normalny, podlega smutnym myślom, drży, okazuje niepokój; powoli jednak powraca do zwykłego trybu życia, zabiera się do zajęcia i przez pewien krótszy lub dłuższy przeciąg czasu, niczem nie różni się od najzdrowszych ludzi. O wiele straszniejsze są niektóre cierpienia, wywołane wskutek chronicznego zatruwania organizmu alkoholem; — niema na nie żadnego lekarstwa i dopiero śmierć uwalnia ofiarę od okropnych cierpień. Chroniczny alkohol jest więc przyczyną najróżnorodniejszych chorób mózgu, *) o czem z łatwością przekonać się można naocznie podczas sekcyi: w mózgu pijaków zwykle napotkać można zgrubienie opony mózgowej, zbieranie się wody w komorach mózgowych. (Forel). W chorobach, wywołanych wskutek zatrucia alkoholem, wielką rolę odgrywa skłonność osobnika do pijaństwa, predyspozycya, przenosząca się z pokolenia na pokolenie. Wpływ więc wyskoku nie ogranicza się tylko szkodą dla pijącego — następne pokolenia cierpią za winy swych ojców i przychodzą już na świat z zarodkami chorób. Dane statystyczne wykazały, iż odsetka chorych na cierpienia nerwowe lub umysłowe, pochodzących od rodziców niepijących, jest o wiele mniejsza, niż odsetka dzieci pijaków; daleko bardziej przekonywające dane dotyczą stanu zdrowia zębów: dzieci pijaków powszechnie cierpią na próchnienie zębów i szybko nader je tracą. Najważniejszym może jednak skutkiem używania alkoholu jest zanikanie zdolności karmienia dzieci przez kobiety, pochodzące od pijaków — zastąpić zaś

*) Nie poruszam tu już chorób serca, arteriosklerozy chorób nerek, jak diabetes mellitus, Arthritis urica et. cet. i wielu, wielu innych dolegliwości, wywolanych przez alkohol.



Rozbicie obozu francuskiego pod Wörth, dnia 6-go sierpnia 1870.

mleko ludzkie mlekiem krowiem lub jakiem sorrogatem jest zupełnie bezcelowem: fizyologia uczy, iż tylko mleko odnośnego gatunku może istnienie tego gatunku podtrzymać (Bunge).

Oto dane, których nam dostarcza nauka. Przekonywają one, co to jest alkohol i co mu ma do zawdzięczenia organizm ludzki. Gdy się przyjrzymy uważnie, łatwo dostrzeżemy, jak wielkie wyrządza szkody, — na obronę zaś swą nie znajdzie ani jednego przekonywającego dowodu, ani jednej strony dodatniej. Naturalnie najważniejszem będzie — pominąwszy wpływ na zdrowie osobnika i następnych pokoleń — znaczenie alkoholu z punktu widzenia ekonomicznego, prędzej zaś jeszcze socyalnego. Całe wieki ciemnoty, straszne stosunki między pracodawcą a pracownikiem, skomplikowane warunki życia zmusiły robotnika — a klasa robocza stanowi wszak rdzeń ludności — do nadmiernej często konsumpcyi alkoholu: według zebranych danych, robotnik fabryki cygar w Mannheim, z 450 marek, przeznaczonych na całoroczne utrzymanie domu, 104 marki wydaje na piwo, a 45 m. tylko na mięso (prof. Herkner). Im gorsze warunki życia, tem więcej wypije robotnik: w Reichenbergu, gdzie lepiej wynagradzają robotnika, roczna konsumpcya alkoholu wynosi 7,5 litra czystego wyskoku od osoby; w niedogodnych warunkach zwiększa się ona do 15,2 litrów — a więc podwaja się przeszło; a są podobno wsie przemysłowe — gdzie płaca niska, a pokarm składa się jedynie z kartofli i chleba — w których 800 mieszkańców konsumuje rocznie 300 hektolitrów wódki (Herkner). Naturalnie, te warunki ekonomiczne były przyczyną pijaństwa, to też Kautzy zauważa, iż „dzięki walce klasowej alkoholizm do pewnego tylko stopnia może być zatamowany. Najzupełniej zniknąć może dopiero wraz z przyczyną, co go stworzyła i wciąż nanowo wywołuje“.

Skutki pijaństwa w klasie robotniczej są straszne; nie mówiąc już o częstych chorobach, na jakie zwolennik trunków wyskokowych tak często zapada, nie mówiąc o chorobach, które przenoszone bywają na potomstwo, trzeba jednak zwrócić uwagę na nędzę rodziny, na częste wykroczenia pijanego, powstałe ztąd często długotrwałe kary, pozbawiające otoczenia środków do życia i t. p. Lecz robotnikowi to wszystko wybaczyć jeszcze można; uświadomienie i poprawa stosunków zupełnie go, zapewne, uleczyć będą w stanie. O wiele jednak gorszem jest rozpowszechnienie pijaństwa wśród klas inteligentniejszych; tu otrzymuje zamiłowanie owo nazwę „zabawienia się“, „rozweselenia“; każdy słyszał o przysłowiowych burszach niemieckich, którzy po kilka godzin dziennie spędzają w knajpach, zapijając piwo, przy akompaniamencie bezmyślnych piosenek; student taki wydaje codzień od 1—1 i pół marek na piwo, łykając litry całe trunku tego; ztąd — wskutek nadmiernego dostępu wodanów węgla, w pięciu litrach piwa naprz., 250 gr., które przyłączają się do 500 gr. zużywanych przez normalnego człowieka — powstaje owe charakterystyczne otłuszczenie, które utrudnia obieg krwi i oddychanie (Strumpell). W ten sposób całe pokolenia młodzieży powoli przygotowują grunt do degeneracyi. Obecnie jednak przeciw temu powstają liczne głosy; namowy uczonych, którzy doskonale odczuwają ujemne strony zapijania się trunkami wyskokowemi, powoli powstrzymują studentów od codziennych pijatyk; zawiązują się towarzystwa wstrzemięźliwości, powstają kółka abstynenckie.

Ciekawą również jest kwestya alkoholizmu w armii. Przez długi czas zdania były podzielone: twierdzono, iż umiarkowane używanie alkoholu podtrzymuje siły żołnierzy, dodaje energii. Praktyka jednak najzupełniej sprzeciwia się tym wywodom. Dane, zebrane podczas najrozmaitszych pochodów i wojen, dowodzą, iż żołnierz, który używa napojów wyskokowych, daleko szybciej nuży się i męczy, aniżeli żołnierz — abstynent. W pewnym pułku bawarskim robiono doświadczenie z 3-ma kompaniami, z których dwie otrzymały niewielkie dozy alkoholu, trzecia zaś nic; podczas marszu, w pierwszych okazało się 20 i 22 ludzi

niezdolnych maszerować, w ostatniej — jeden tylko. Francuski gen. Gallieni pisał do jednego ze swych znajomych doktorów, przełożonego szpitala dla obłąkanych, iż podczas całej swej 25-letniej służby wojskowej, wielu wojen i pochodów przekonał się stanowczo, iż żołnierz nieużywający trunków wyskokowych jest o wiele wytrzymalszy od pijących. Kitschener podczas swego pochodu na Sudan najzupełniej zabronił dowozu spirytualiów; celność Boerów podczas ostatniej wojny w Transwaalu objaśnia się po części tem także, iż nie używali oni nigdy żadnych trunków. Nie można się więc wcale dziwić, iż adm. Aleksiejew wydał surowy zakaz używania spirytualiów; nie wiele to jednak pomogło; jeden ze szwedzkich lekarzy pisał, iż na 8 dni przed wybuchem wojny, na ulicach pełno było pijanych żołnierzy, z którymi policya z trudem dawała sobie radę — wołano zwykle „riksza kuli'', aby ich odprowadzał, a „Chińczyk ze zdumieniem przyglądał się stanowi, w jakim znajdował się „cywilizowany'' człowiek. W Chinach, jak wiadomo, nie pija się żadnych spirytualiów'' (Prof. Reinitzer).

Oto w kilku słowach, w najogólniejszych zarysach to zło, jakie nam wyrządza alkohol; a gdy weźmiemy jeszcze pod uwagę, iż dzieci nawet przyzwyczaja się do trunków, co powoduje hamowanie rozrostu i rozwoju, osłabia trawienie, odbiera apetyt i p. t. iż nieraz od najmłodszych prawie lat daje im się piwo, które, zdaniem uczonych gorzej jeszcze działa, aniżeli wino lub wódka, to łatwo wyobrazić sobie, co za straszną szkodę wyrządza alkohol społeczeństwu. Dlatego też siłą całą powinniśmy walczyć przeciw alkoholizmowi; prawda, iż „dziś mamy'' — jak się wyraziło jedno z poważnych pism naszych: „sprawy nieco ważniejsze, które powinny nas pochłaniać'', jeżeli jednak klasa robocza poczuła wpływ alkoholizmu i stara się otrząsnąć z wpływu tego, to obowiązkiem każdego jest ją w szlachetnem tem dążeniu podtrzymać; zwalczanie alkoholizmu jest sprawą doniosłej wagi, a nie wymagając żadnych nadzwyczajnych trudów, może współistnieć z najważniejszemi momentami dziejowemi. *St. St.*

Z dziedziny hygieny.

Wartość owoców. Za mało, stanowczo za mało hoduje się u nas drzew owocowych. Patrzmy tylko dla porównania na Czechy, Wjeżdżając w ich kraj, od razu widać, jak oni dbają o owoc. Z pola podwójny wyciągają pożytek. Sieją na niem zboże, ale zarazem sadzą na niem, w długich szpalerach drzewa owocowe. Ale jaki też piękny grosz wpływa do kraju za owoc, który wysyłają zagranicę! U nas w miarę tego, jak więcej potrzebuje się owoców, sprowadza się je w coraz to większych ilościach z zagranicy.

Dlaczego ich nie produkujemy sami? Dlaczego zaniedbujemy sady owocowe? Dlaczego nie pamiętamy, że z sadów moglibyśmy mieć wielkie dochody? Ale także dla własnego użytku powinniśmy więcej hodować owoców. Wartość owoców, jako produktu zdrowego, pożywnego i orzeźwiającego, nie jest jeszcze powszechnie znaną. Dla wielu ludzi byłoby to lepszem i zdrowszem, gdyby, zamiast wydawać pieniądze na niepotrzebne, a nawet szkodliwe środki spożywcze i drażniące, ciału i krwi dostarczali zdrowych owoców, kompotów i t. d.

Owocu stosunkowo jadamy za mało. Dobra gosposia wie wprawdzie bardzo dobrze, że soczysty owoc gotowany, przy końcu obiadu jest bardzo, zwłaszcza zimą, pożądaną rzeczą. Ale nie wiele gospodyń jednak wie zapewne o tem, że owoc jest bardzo ważnym środkiem pożywnym i leczniczym; gdyby bowiem wiedziały, starałyby się w porze owocowej niejeden koszyk więcej jabłek, gruszek lub śliwek zakupić do użytku familijnego i konserwy podawałyby nietylko raz kiedyś do pieczeni, ale uważałyby poniekąd owoc za artykuł niezbędny przy każdym obiedzie i zakupywałyby go zwłaszcza w latach, w których jest tani.

Niejedna matka żali się, że jej dzieci są blade, że im brak rumieńców, że cierpią na brak krwi! Radzą się lekarzy, ci zapisują dziecku najróżniejsze mikstury, ale to wszystko nie skutkuje. Tymczasem najprostszym i najskuteczniejszym środkiem na niedokrwistość jest owoc.

Stary, doświadczony lekarz, dr. Dock, posiadający zakład leczniczy pod St. Gallen, zużywa corocznie za 1000 franków owoców dla swych pacyentów i bezustannie upomina matki: Dawajcie dzieciom swoim owoce, aby więcej miały krwi! Dr. Dock leczy niedokrwistość owocami i mlekiem, a skuteczność jego metody leczenia obala stary przesąd, jakoby mleko i owoce nie zgadzały się w żołądku ludzkim.

A więc matki i gosposie, nie żałujcie owoców i podawajcie je ile możności przy każdym obiedzie, a dzieciom dawajcie tyle owoców, ile tylko zechcą.

Przedewszystkiem śliwki przyczyniają się do pomnożenia krwi. Również dobroczynny wpływ wywierają jabłka na organy trawienia. Używanie jabłek poleca się szczególnie ludziom ciężko pracującym, albo pracującym umysłowo. Ciepłe jabłka zgotowane działają dobrze i łagodząco w chorobach gardła i chrypce. Jabłka, spożyte po jedzeniu, pobudzają trawienie. Niedostatek krwi i błednica u dzieci da się usunąć używaniem owocu. Dla małych dzieci, jakoteż dla ludzi, mających słaby żołądek, gotowany lub smażony owoc jest pożyteczniejszy niż surowy i można go też więcej spożyć.

Krótko mówiąc, owoc powinien być więcej ceniony i używany jako środek spożywczy, leczniczy i orzeźwiający.

* * *

Nasze sypialnie. W nerwowym wieku naszym, w okresie wytężonej pracy i wielkiego sił napięcia, dokładny i prawidłowy wypoczynek nocny jest niewątpliwie najskuteczniejszym ku wzmocnieniu ustroju czynnikiem. Niezbędne jednak do osiągnięcia snu dobrego warunki wiążą się ściśle z odpowiedniem, pod względem wymagań hygieny, — urządzeniem sypialni i łóżek. Niestety, na tym punkcie grzeszymy, pomimo postępu kultury, zbyt często.

Światło i powietrze — te dwa cenne dary, uwzględniać należy przedewszystkiem, wybierając pokój na sypialnię. Wszak według obliczeń, osobnik przeciętny spędza tam mniej więcej trzecią część życia. Nie ciasny więc lamus lub alkowę używać trzeba na spanie, lecz największy i najwidniejszy pokój w lokalu. W sypialni jak najmniej sprzętów, jak najmniej kotar i dywanów. Pierwsze, to zbiorniki kurzu, drugie, pochłaniają, bądź tłumią światło używeze; to wszystko razem czyni z komnaty, w której przebywa się najwięcej, posępną o atmosferze stęchłej, celę więzienną.

Drugim, niesłychanie ważnym w sprawie zdrowego snu czynnikiem jest pościel. Jak odzież winna, broniąc nas skutecznie od zmian ciepłoty, nie tamować współcześnie przewiewu, nie wywołać zastoju zużytego powietrza na skórze, tak również i od pościeli mamy prawo żądać zadośćuczynienia warunkom powyższym. Z racyi tej, oraz dla osiągnięcia spokojnej snu ciągłości, wykreślić wypadnie z użycia sprężynowe materace twarde, a jeszcze więcej — miękkie puchowe piernaty. Materac taki wskutek odbijania się skrętów sprężyny, pod wpływem poruszeń śpiącego, na spoczynek działać musi ujemnie; pierze ptasie sku-

piające się w kłęby, jest złym stanowczo przewodnikiem światła i ciepła, a przyciągająca wilgoć, staje się pożądanem dla drobnoustrojów środowiskiem i źródłem uporczywych cierpień reumatycznych. Za najwłaściwsze dno łoża uważa się dziś słusznie mocną i elastyczną plecionkę drucianą, pokrytą materacami z włosiem końskiem, które nie rozgrzewa się i do czyszczenia jest łatwe.

Podobnież i zbyt miękka poduszka z pierza, wywołując przekrwienie mózgu, staje się punktem wyjścia dręczących wizyi sennych i wpływa na marne, niespokojne spędzanie nocy. Wysokie ułożenie głowy jest również złem, bo powoduje niedokrewność mózgu. Rozpostarte bez zmarszczek prześcieradła, niezatrzymująca potu niegruba kołdra wełniana, tworzą komplet pościeli racyonalnej.

O ile rygor na punkcie porządku jest rzeczą arcypiękną, o tyle nie wytrzymuje krytyki szablonowe trzymanie się go co do sypialni. Chcąc za młodu zaszczepić dzieciom swym zamiłowanie ładu, rodzice każą im pilnie, zaraz po wstaniu, słać własnoręcznie łóżeczka, a gospodyni „prawdziwa" łaje sługę, gdy ociąga się z zasłaniem łóżek.

Zdaniem wielu, wykonywana bezzwłocznie czynność ta wraz ze skrzętnem pokryciem zawartości łóżka kapą (np. nie przepuszczającą światła, ni powietrza) jest probierzem domowej elegancyi i porządku. W tym razie należałoby jednak z wymagań owych skapitulować choć do południa i zarządzić codzienne przewietrzanie materaców, poduszek i kołder przy rozwartych oknach sypialni, pod działaniem zbawiennych, bakteryobójczych promieni słońca.

Uwagi powyższe dotyczą przedewszystkiem sypialni dziecięcych. Pociechy nasze spędzają w łóżku część większą swego okresu pierwszego. Jeżeli istotom tym utrudnimy dostęp światła i powietrza, gdy w zaraniu spaczymy potomstwu warunki życia normalne, trudno wymagać będziemy od tych następców naszych należnej odporności, energii i siły życiowej.

Jak się chronić od piorunów?

W domach, zwłaszcza w mieście, uderzenia pioruna są rzeczą tak rzadką, że częściej można paść ofiarą załamania się sufitu pod pląsami na wyższem piętrze, niż od „jowiszowej strzały" błyskawicznej. Wszelako nie wypada pochwalać lekkomyślnej chełpliwości tych, którzy — dla błahego popisu śmiałością, nieraz nawet udawaną — podczas burzy roztwierają okna i drzwi; mocny przeciąg powietrza jest niezawodnie zbyt uprzejmym przewodnikiem elektryczności. Piorun uderza nierzadko w najwyższe drzewa (wieże zwykle są zaopatrzone w gromochrony) i ogólnie w przedmioty najbliższe naelektryzowanych chmur. Zatem niebezpieczeństwo takiego rażenia bywa największe na otwartem polu, gdzie nasza własna osoba może przedstawiać punkt najwydatniej wzniesiony. Z tego względu ludzie, zaskoczeni przez burzę, zdala od wszelkiego porządnego schronienia, z podwójną słusznością szukają czemprędzej ukrycia pod najbliższemi drzewami. Przy tem jednakże należy zważać najprzód na to, że ucieczka u brzegu lasu przedstawia znacznie mniej bezpieczeństwa, niż w głębi; zarazem, różne drzewa posiadają odmienne własności co do przyciągania lub odpychania piorunowych pocisków. Tak więc doświadczeni leśnicy twierdzą jednogłośnie, że nadewszystko stare dęby, jodły, świerki, sosny a także wysokie lipy, topole i t. p. — szczególnie gdy mają suche wierzchołki lub podobnież oddzielne konary — często ulegają razom piorunów. W pewnej okolicy niemieckiej stwierdzono piorunowych uderzeń na dębach 56, na jodłach i sosnach 24, a na bukach — ani jednego, chociaż te drzewa zajmowały około 7/10 części całego obszaru leśnego. Okoliczność tę ludzie fachowi przypisują temu, że drzewa bukowe posiadają liście delikatnie owłosione. Rozumie się, iż „niema prawidła bez wyjątków" nie trzeba więc mniemać, jakoby także wysokie buki, rosnące osobno, miały być stanowczo nietykalne. W każdym jednak razie można się uważać za lepiej schronionego pod bukiem, zwłaszcza nizkim, niż pod wszelkiem innem drzewem. W drugim rzędzie można zalecać: leszczynę, olchy i wszelkie zarośla o liściach włosiastych. Zatem, kogo burza zaskoczy bądź śród lasu, bądź w pobliżu — na polu, łące, pastwisku — ten niech szuka schronienia od deszczu i piorunów nie pod stertą, stogiem ani oddzielnem, wysokiem, przybrzeżnem drzewem, lecz możliwie w głębi, najlepiej pod bukiem, szczególnie rozłożystym, chropowatym. — A gdzie niema podobnej ucieczki, tam już chyba według rosyjskiego przysłowia — „leżącego się nie bije" — od piorunów położyć się na ziemi; deszcz przemoczy, to pół biedy!

Dla łatwego zapamiętania powyższych uwag, można je streścić w kilku wierszach:

Kiedy raptem spotka burza,
Niech obawa cię nie zdurza;
Chociaż tryska, błyska, trzaska,
Ty przytomnie dąż w głąb laska...

Patrz — w te dęby, jodły, sosny —
Chętnie strzela piorun sprosny;
Za to mija nizkie buki:
. . Chroń się wedle tej nauki!

Prof. B.
„Przewodnik Zdrowia."

Nasze ryciny.

— Lat 36 mija od wojny niemiecko-francuskiej, w której około 50 tysięcy braci naszych Polaków — musiało walczyć bądź to jako rekruci w piątym korpusie generała Kirchbacha, bądź też w dywizyi „landwery" Kummera lub po licznych pułkach kawaleryi przeciwko współwyznawcom wiary katolickiej, niegdyś nam bardzo sprzyjającym Francuzom.

Jedną z pierwszych bitew w owej wojnie była bitwa pod Wörth na ziemi lotaryńskiej, nad którą panował przed 180 laty były król polski Stanisław Leszczyński, jako teść króla francuskiego Ludwika XV-go. Bitwę tę rozpoczął właśnie korpus piąty gen. Kirchbacha, który to korpus przeważnie się składał z Polaków.

Bracia nasi musieli w ogniu nieprzyjacielskim przechodzić w bród rzekę Sauer i szturmem brać wieś Wörth leżącą na wysokiem wzgórzu. To też padło tam naszych kilka tysięcy rannych i zabitych, bo Francuzi pod dowództwem dzielnego marszałka Mac Mahona bronili się wytrwale od rana godziny 8-mej aż pod sam wieczór. Dopiero gdy przeciwko 80,000 Francuzów ściągnęli Niemcy 130,000 swojich, gdy nadeszli z boków Bawarczycy i Wyrtemberczycy, dopiero wtenczas poszła część wojska francuskiego w rozsypkę. Rycina nasza przedstawia chwilę, gdy konnica bawarska rozbija w pogoni tabor Francuzów. Działo się to dnia 6-go sierpnia 1870-go roku. Nie trudno było Niemcom zwalczać Francuzów kiedy prawie w każdej bitwie byli w nadmiernej przewadze liczebnej.

Humor i satyra.

Sylwetki czynowników rosyjskich w Królestwie Polskiem.

(Dokończenie).

5. Komisarz policyi.

Sumiaste wąsy, tęgi brzuch,
Na piersiach krzyż przy krzyżu,

Pije za czterech, je za dwóch
  I wrzeszczy — dla „prestiżu.“

Różnie różnemi czasy żył,
  Więc mu nie braknie pleców,
Z niejednej studni wodę pił,
  I z różnych jadł chleb pieców.

Przez ogień, wodę przeszedł wprzód,
  Nim został komisarzem,
Więc groźnie patrzy dziś na lud,
  Jak Budda nad ołtarzem.

Za mało mu, co daje rząd,
  Lecz umie zdobyć więcej
I z noworocznych życzeń, z świąt,
  Dziesiątki ma tysięcy.

Uliczny ciągle bada szlak,
  „Sn[illegible]“ robi w swej parafii,
A gdy gdzie nieporządku brak,
  Sam zrobić go potrafi.

I wtedy żywy jest, jak skra,
  Pełno go w każdym kątku,
Poczem do władzy raport zda,
  Że wszystko jest w porządku.

6. Rewirowy.

Twarz nieco rumiana,
  A pod pachą teka,
Na nogach od rana;
  Anioł-stróż człowieka!

Z uprzejmości słynie
  Dla obywatela,
Wydaje opinie
  I świadectw udziela.

Jest jak orzeł skalny,
  W bystry wzrok zamożny:
Wie, kto nielojalny,
  Kto „błagonadiożny.“

Wciąż lustruje domy,
  Węszy ślad wypadku,
Stróżom sypie gromy,
  Jeśli nie ma datku.

Ni człek w śmierci porze,
  Ni dzieciaczek nagi,
Obyć się nie może
  Bez jego „bumagi.“

Miałby z nim śmiertelnik
  Chryje w życiu całem,
Szczęściem „pan naczelnik“
  Przestaje na małem.

7. Stójkowy,

Dawniej rzucał wzrok surowy,
  (Dzisiaj chodzi cały drżący)
Człek ogólnie zwan stójkowy,
  A wulgarnie zaś — „stojący.“

Jako bocian, co na żabki
  Czyha w toni błota cichej,
Tak on wciąż wyciągał łapki,
  Upolować pragnąc dychy.

Gdy kto w mieście zbyt się szastał,
  Lub się zebrał gdzie lud gęściej,
Jak z pod ziemi on wyrastał,
  Mówiąc groźnie: „nu do części!“

Wziął za kołnierz, szturgnął nogą,
  Schwytał szybko, gdy kto zmyka;
Nie miał względów dla nikogo,
  Chyba... w imię „grywiennika.“

Dla dryndziarzy bicz to pono,
  Stróżów dusił nie potroszku,
Gdy złodzieja zaś goniono,
  Wtedy w szynku był na rożku.

Dziś za dawnym wzdycha stanem,
  Za zdobyczą dysek łatwą,
I już przestał być bocianem,
  A jest teraz... kuropatwą.

Krogulec.

* * *

Z książeczki służbowej panny Agaty.

Ten utwór niewieści
Od siedmiu boleści:
Tydzień służyła,
Cztery szklanki zbiła.
Przytem jest harda, koszykowe bierze,
Pyskata strasznie, no i podle pierze,
A że innego codzień miała „brata“,
Więc uwolniłam tego parzygnata.

* * *

Modny dzieciak.

— Jakże pani córeczka? czy duże postępy robi w naukach?

— Nieszczególne, ale zato na wszystkich balikach dziecięcych tak zawraca głowy swoim kawalerom, jakby już była dwudziestoletnią panną!

* * *

Nagrobki dla przyjaciół.

Przechodniu! mijaj zdala
Tę smutną mogiłę,
Tu śpi z flaszą Serwacy
I sny marzy miłe.
Zacny był, sam nie pijał,
Więc, gdy zwęszy ciebie,
Na kropelkę gorzałki
Zaciągnie do siebie.

* * *

Tu spoczywa wzór mężów,
Przykład kompaniona!
Bił Turki i Tatary,
Jego biła żona;
On krzepko machał szablą,
Ona miotłą dzielniej,
Aż w końcu wziął i umarł:
Wszyscyśmy śmiertelni!

* * *

Amant dwudziestego wieku.

— Kocham panią do szaleństwa i śmiem spodziewać się wzajemności.

— A czy pan myśli o ożenieniu się?

— Jakżeby! Mam już nawet narzeczoną.

Łamigłówka sylabowa.

Z następujących sylab ułożyć 9 wyrazów tak, żeby początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły jedno z naszych historycznych nazwisk książęcych.

Ar, ro, cią, wę, gła, ło, ra, gen, łę, do, i, wnik, tow, żek, ta, zan, ak, żo, za, tek, i, ski, kie, ty, na.

Znaczenie wyrazów.

1) Uboga osada rolnicza po za Ciechocinkiem.
2) Rzeczpospolita w południowej Ameryce.
3) Imię żeńskie.
4) Przyjaciel Mickiewicza.
5) Syn Abrahama.
6) Konstelacya gwiazd.
7) Narzędzie krawieckie.
8) Przydomek króla Władysława.
6) Nazwisko autora poematu p. t. „Izrael na puszczy“.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 18-go sierpnia włącznie.

Rozwiązanie szarady z nr. 29-go:
Niezapominajka.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp. Cezary Ziółkowski z Łążyn, Stanisław Zaborowicz z Łuszczewa, Joanna Ziołecka z Gąsawy, Anastazya, Hela i Józef Nowiccy z Karolewa, Anastazya Maciejewska z Gołubia, Leokadya Konopińska z Szamotuł, H Hoffmannówna z Kwilcza, Jadwiga Szmyt z Wągrówca, L. Werbel z Krobi, St Zajcher z Berlina, M. Leśnik z Samostrzela, Marya Kasprowiczówna z Lubawy, N. Matuszewski z Wilatowa, W. Langa z Poznania, Antoś i Kazio Fiederow z Miłosławia, Kazia Zaremba z Jarocina, Ks. Pęgowski z Wyszanowa, Stanisław Brzesiński z Poznania, Jan Czajkowski z Kazaniec, I. Szperkowski z Pożarowa, Maksymilian Maliński z Poznania, F. i K. Rejman z Łąki (Gal)., Aleksandra Pater z Osieka, Kaźmiera Małecka z Nowejwsi, Wincenty Radtke z Kruświcy, Wiktor Proszak z Modlnicy, R. Wodarski z Borsigwerku, Leokadya Przewoźniak ze Środy Stanisław Kalita z Sołotwina, Czesław Smoczyk ze Śremu, Jan Bąk z Derne, Kaźmierz Drygas z Poznania, Ant. Grajek z Węgierskiego, M. Ziółkowski z Turznic, Helcia Banaszkiewicz ze Środy, Walentyna Bilska z Zwoli, Józefa Woźniak z Wrześni, M. Lisiecka z Nowejwsi, Wanda Mańczakówna z Mchów, Leokadya Brzesińska z Mieścisk, Henryk Lepsuch z Zabrza, E. Brylowa z Krobii, Stanisława Kitowska z Lesin, Leokadya i Bolesław Sypiewscy z Pniew, Wojciech Kaźmierski ze Śmigla, L. Ludkowski z Poznania, Marya Krawcowicz z Górzna, Helusia Kubczak z Głębokiego, Marya Büttner z Krefeldu, R. Lewicka z Chełmży, Bronisława Ciesińska z Król. Waldowa, Antonina Włochal z Krzywinia, Franciszek Chytry z Kobylina, Ludwika Wagner z Berlina, Hela Palczewska ze Środy, A. Kuczkowski z Kobylina, Wacław Jaśkowski z Kościana, Stanisława Taniewicz z Ceradza dolnego, Józef Gawrych z Młynkowa, Maryan Zygarłowski z Poznania, Władysława Koppe z Poznania, Antonina Szulz z Poznania, Stefciu Nawrocki z Poznania, Fr. Nawrocka z Łabiszyna, Franciszek Schüssler z Szarleya, Szynkowski z Hamburga, Antoni Kucharczyk z Benczyn, Julianna Alejska z Stęszewa.

Nagrodę otrzymali pp. Edmund Radoński z Sontopp, Jan Oczadły z Król. Huty, Franciszek Birowicz z Hamburga.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Rzeź Pragi.

Powieść historyczna przez **Teodora Tomasza Jeża.** 1)

I.

Do obrazu, jaki na wstępie niniejszej powieści wypada mi skreślić, chciałbym posiadać talent pisarski, ale talent taki, jakiego jeszcze nie było. Chciałbym bowiem, aby obraz ten wniknął czytelnikowi do duszy zarazem i do serca, i stanął w wyobraźni jego poważnie a smutnie, uroczyście a zachwycająco; chciałbym, aby do niego przemawiał i śpiewał: — a przemawiał, jak jaki Demostenes, a śpiewał, jak archanielski chór. Bo obraz to taki, którego bałem się tknąć w powieści, dla którego powieściowe ramy wydawały się mi jakieś takie, jakby mu ubliżały. Bo obraz ten, to:

Rzeź Pragi.

Nieraz w mojem życiu stawiałem go sobie przed oczyma: stawiałem go, kiedy byłem dzieckiem, i kiedy wyrosłem na młodzieńca, i kiedy dojrzałem na męża. I zawsze przenikał on mnie nawskroś, do głębi. Kiedy byłem dzieckiem, płakałem nad nim w dziecięcej bezsilności. Kiedy wyrosłem na młodzieńca, on mi noce na bezsennice zamieniał, lub zrywał mnie ze snu, jakby mi raptem, nad uchem, alarmowa wrzasnęła pobudka. Kiedy wyrosłem na męża, zaciężył mi on, jak krwawa na sumieniu plama, wołająca:

— Zmyj mnie! zmyj!... Wypierz w krwi Moskali!.....

O!... Ale cóż o samym sobie tylko prawię!... Ja myślę, że każdy z czytelników moich, komu krew w żyłach nie wyziębła, kiedy mu Pragskiej rzezi obraz przed oczyma stanie, doświadcza tego samego co i ja uczucia. Każdemu głos wewnętrzny woła:

— Masz krew ojców na sumieniu!... Zmyj ją!...

O! bo też to była poważna i okropna chwila: poważna — ofiarą, okropna — upadkiem ofiarnego wysiłku.

I dla tego bałem się obraz ten w powieściowych umieścić ramach. Ale pomyślałem:

— U nas powieść nie jest artystycznym figlem, wymyślonym na to, aby czytelnikowi tuman w oczy puszczać; nie jest retoryczną sztuką łechtania w pięty wyobraźni i pobudzania czytających łaskawców, tu do uśmiechu, tam do rozczulenia, owdzie do oburzenia, gdzieniegdzie do ziewania. U nas powieść jest...

Nie powiem jednakże, czem u nas jest powieść. Gdybym powiedział: „czem jest'', — to by się pokazało, że nie „jest'', ale „być powinna'': wyszeptaniem do ucha tego, czego wręcz, głośno wypowiedzieć nie można. Nie powiem czem jest; ale, opierając się na tem, czem być powinna, skreślę obraz Pragskiej rzezi, a skreślę tak, jak go w wyobraźni mojej widywałem.

— „Warszawa u stóp waszej cesarskiej mości. — Hura!...''

Takim był raport Suwarowa, do Katarzyny Wielkiej. Katarzyna Wielka mu odpisała:

— „Hura!... Felmarszałek Suwarow...''

Warszawa kapitulowała: — poddała się bez boju. — Przed kapitulacyą Suwarow nie był felmarszałkiem, i nie byłby nim został, bo przed nim było kilku starszych od niego służbą jenerałów, którym się ta najwyższa w Rosyi godność wojskowa z prawa należała. Warszawa zrobiła go feldmarszałkiem. Suwarów uradował się. Wielki mąż miał dziwactwa. Kazał dziękczynny za feldmarszałkostwo odprawić *mołebeń*, podczas którego skakał przez tyle stołków, ilu było starszych od niego jenerałów, i za każdem skoczeniem wymawiał jednego z nich nazwisko. Po czem, wdział feldmarszałkowski mundur i modlił się nabożnie. A był bardzo nabożny i przytem miłosierny. Nie pozwalał indykom łbów ucinać, bo mu żal było biednych ptaków.

Ale do Warszawy i feldmarszałkostwa przeszedł przez Pragę, a w Pradze po kolana brnął w krwi. Nie wystarczało mu to, że złamał obrońców na wałach. Zachciało mu się skąpać w laszej jusze!

Moskale usprawiedliwiają go. Powiadają, że obrona Pragi była uporną.

Była uporną — jeżeli sądzić o niej będziemy ze stanowiska sztuki — ofiarną — jeżeli pomyślimy o stosunku, jaki pomiędzy obrońcami a napastnikami zachodził.

Smiało powiedzieć możemy, że pomiędzy tymi kilku tysiącami ludzi, którzy szańców Pragi bronili, od naczelnika do ostatniego szeregowca, nie było ani jednego, coby myślą poświęcenia się za ojczyznę nawskroś nie był przejęty. Szańce stały dla nich ołtarzem. Na nich umierali oni szeregami, wiedząc z góry, że umrą. Przedpiersia z ziemi sypane, wzmacniali własnemi piersiami, i przyjmowali w nie wszystkie pociski, jakie się z bateryi i szeregów rosyjskich gradem sypały.

Praga leży na prawem wybrzeżu Wisły, górującem nad lewem, na którem szeroko rozłożyła się starsza jej a rodzona siostra, Warszawa. Praga jest przednią czatą, chronicielką Warszawy. Pod obronno-wojennym względem stosunek pomiędzy niemi taki: że posiadanie Warszawy nie zapewnia posiadania Pragi, ale, kto opanował Pragę, temu Warszawa sama do nóg pada. W szczególności położenia tego spoczywa tajemnica kapitulacyi Warszawy Suwarowowi, a zarazem, tajemnica uporu, z jakim wojska nasze broniły Pragi.

Broniły jej upornie, z całą zaciętością męstwa, z całą pięknością poświęcenia. Za półkolem szańców, którym za cięciwę służyła Wisła, a których wypukłość zwróconą była w stronę pól grochowskich, tak świetnie wsławionych w trzydzieści kilka lat później, rozstawieni byli obrońcy. — Stali rzadko, bo było ich mało. Przy działach usługiwali kanoniery; w odstępach pomiędzy bateryami ciągnęły się łańcuchy szyldwachów; gdzieniegdzie, w miejscach, bądź prędszej i skuteczniejszej wymagających obrony, bądź lepiej przed ogniem nieprzyjacielskim zasłonionych, biwakowały kolumny piechoty. Po ławie szańcowej ciągle przebiegali oficerowie, pilnie śledząc wszystkich ruchów nieprzyjaciela. W niektórych miejscach sapery, przy pomocy mieszkańców Pragi, naprawiali poczynione w wałach zburzenia i wyłomy.

Kanoniery mieli najwięcej do czynienia. Po całych dniach, od świtu do zmroku, baterye strzelały, odziewając szańce w chmurny wał dymu, w którym ludzie wydawali się niby duchy, odbywające jakieś napowietrzne ćwiczenia. Chylali się i kurczyli, prostowali się i ręce do góry wznosili, wyciągali się w szeregi i zbiegali w kupki, wyskakiwali wysoko i niby pod ziemię zapadali. A ciągle, w regularnych czasu odstępach, z pomiędzy nich wylatywał do góry wężykiem płomyk, i natychmiast potem wyskakiwała błyskawica, wyciskająca gwałtownie kłęby białego dymu. Dym biegł zrazu poziomo, jakby doścignąć chciał kulę, która z działowego wylotu uciekała. Niedoścignąwszy jej, zatrzy-

mał się w pewnej odległości, zwijał się sam na siebie, rzedniał brzegami i gęstniał po nad fosą. Każdej błyskawicy towarzyszył krótki a suchy huk, jakby w piorun zamieniony wyraz:

— Giń!...

Działowa rozmowa ciągnęła się długo. Polskim wałowym bateryom, odpowiadały polne moskiewskie. Tych ostatnich było więcej. Na jeden strzał polski, padało dziesięć moskiewskich. Pociski mijały się w powietrzu, we dwie przeciwne dążąc strony. Kule niosły się z przeraźliwym gwizdem. Granaty i bomby szczebiotały i furczały, niby uciekające z pożogi ptaszki. Huk powietrzny sprawiał w ziemi drzenie, jakby nią jakieś głębokie, podziemne wstrząsały wulkany.

Grad kul i granatów zasypywał Pragę. Pierwsze rwały przedpiersie, lub, wijąc się po wałach, raziły obrońców i niszczyły działa; drugie nurzały się wśród domów i przedmieścia, pękały, i natrafiając na zapalne przedmioty, szczepiły tu i owdzie pożogę. Bomby tą samą co granaty szły drogą, i taki sam tylko spotęgowany pod względem zniszczenia, sprawiały skutek, ale rzadziej były rzucane. Kiedy niekiedy tylko, wśród jednotonnych huków dział i jednorogów, grubym, ryczącym basem odzywał się moździerz, i wyrzucał bombę, która punkt upadku swego ruiną znaczyła. Granaty przebijały dachy, sufity, ściany, dziurawiły budynki, bomby duże domy w kupę gruzów zamieniały, a gdy na bruk spadały, to wybijały głęboką i szeroką kotlinę, a gdy drzewa rozpryskającym z ich wnętrza ogniem dotknęły, to wystrzelały płomieniem.

Było to istne dzieło ogniowego zniszczenia, od którego trzeba było bronić z całą energią nadludzkiego wysiłku. Trzeba było gasić pożar, tu i owdzie co chwila od granatów i bomb wszczynający się. Gaszenie to przedstawiało wielkie trudności. Bo jeżeli gdzie zajęło się, natychmiast Moskale na punkt tenześrodkowywali ogień jednorogów i zasypywali go granatami. Ratujący więc wystawieni byli na niechybną prawie śmierć, lub kalectwo. A do ratunku nie można było użyć wojska, bo tego potrzeba było do odpierania, lada moment spodziewanych ataków. Żołnierzy więc wyręczali mieszkańce, i to bez różnicy płci i wieku: mężczyźni i kobiety, starce i dzieci, spieszyli gasić pożary, niosąc życia swoje w ofiarze, i składając je na ołtarzu ojczyzny.

Walkę z pożarami można nazwać wewnętrzną Pragi obroną, względem której, ta co odbywała się na okopach, była zewnętrzną. Tu panował zgiełk ludzi, pomieszany z łoskotem walących się budynków i hukiem pękających od czasu do czasu granatów, tam ludzi słychać nie było, bo komendę oficerów: „pal!... nabijaj!...“ głuszyło ciągłe, obustronne grzmienie artyleryi.

Jest w tem grzmieniu harmonia. Kiedy kilkadziesiąt bateryi równocześnie, na jednem polu strzela, to warto się w to wsłuchać. Zrazu huk działa na nerwy. Lecz powoli nerwy oswajają się, i można słuchem rozeznać różne tony, zlewające się w jakieś zgodne, grzmotowe mruczenie, zrazu dzikie, dziwne, wstrętne, następnie głuszące, łechcące, i to do tego stopnia, że przy niem jak przy szemraniu strumyka lub szumie wiatru, spać się zachciewa. Sypiałem przy tem mruczeniu, i każdego, komu wiedzieć o tem należy, zaręczyć mogę, że śpi się mocno i dobrze.

I obrońcom Pragi spało się, ale nie wszystkim, a raczej wszystkim się nie spało, wyjąwszy jednej piechoty biwakującej za wałami: bo wszyscy byli zajęci, a piechota, zdawało się, jakby próżnowała. We wszystkich prawie oddziałach, broń złożoną była w kozły, przed bronią chodziły szyldwachy, a za bronią, leżący szeregami na ziemi chrapali żołnierze. Ani ich obchodziły: grzmoty wystrzałów, poświsty kul i warczenia granatów. Jeżeli pocisk jaki, pełny lub wydrężony, wpadł pomiędzy nich, to całym skutkiem jego było to, że zranił paru lub zabił, i kilku rozbudził. Zranionego towarzysze na płaszczach do opatrzenia do najbliższej odnieśli komnaty, zabitego odsunęli nieco na stronę, rozbudzeni pozasypiali na nowo, i na tem koniec.

W samem jednakże ułożeniu się piechoty do snu, widać było gotowość do boju. Każdy żołnierz w pełnem był odzieniu i miał wszystkie lederwerki na sobie, i leżał tak blisko broni, że na pierwsze uderzenie pałeczek bębna, mógł w jednem oka mgnieniu zerwać się, sięgnąć ręką do kozła po swój karabin i stanąć w szeregu. Piechota więc spoczywała, zachowywaną będąc na jakąś ważną, bardzo stanowczą chwilę.

Jakoż przyszła na piechotę pora. Bębny zawrzały. Żołnierze wszyscy na raz, jak jeden, zerwali się i wyciągnęli w szeregi, trzymając broń do nogi.

Oficerowie zakomenderowali.

— Na ramie broń!...

Karabiny szczęknęły. Od razu oddział najeżył się grzebieniem bagnetów.

Następne komendy ruszyły piechotę z jej dotychczasowych stanowisk. Jedne oddziały, w rozwiniętym szyku, stanęły na ławach okopowych w pogotowiu do strzelania, inne w ścieśnionych kolumnach zatrzymały się nie opodal od wyłomów, w celu uderzenia na bagnety.

Na jedne i drugie nadeszła wkrótce chwila czynu. Nieprzyjaciel zawiesił ogień działowy, i szedł do szturmu. Gęste kolumny moskiewskie z kilku stron na raz zbliżały się ku zrujnowanym w wielu miejscach okopom. Czerniały się one zrazu z daleka, oświecone z wierzchu szczecią bagnetów, i posuwały się powoli. Gołem okiem nie można było ich rozpoznać; lecz przez lunety widzieć się dawały faszyny i drabiny, niesione przez żołnierzy do zapełnienia rowów i wdzierania się na wały. W miarę jednakże jak się zbliżały, coraz stawały się wyraźniejsze, i coraz szybciej się posuwały.

Baterje nasze strzelały, ale nie wszystkie, dla tego że te, których ogień byłby najskuteczniejszym, nieprzyjaciel zburzył. Te przedstawiały kupy ziemi, a na tych kupach, do połowy wgrzebane, leżały powywracane działa, potrzaskane lawety i trupy kanonierów. Z powodu umilknięcia tych baterji, nieprzyjaciel bez znacznej szkody mógł podejść do okopów na odległość strzału karabinowego.

— Rotami ognia!... Prawe i lewe skrzydło w sekcyi zaczynaj!... Ognia!... — rozległy się kolejno na wałach oficerskie wołania.

I zagrzechotała ręczna broń.

Niektóre z moskiewskich kolumn zachwiały się. Było parę takich, które zatrzymały się na chwilkę pod ulewą karabinowych kul, drgnęły, rozwiązały się i poszły we wsteczną rozsypkę.

Los tych był smutny, bo postępujące za niemi drugim szeregiem własne ich kolumny dały do nich ognia, i nawróciły je do szturmu, ale w bezwładnych i zrozpaczonych gromadach, gnanych na wały strachem śmierci, która za niemi rozmyślnie, zimno, nieubłaganie postępywała, zostawiając im jedyną w zdobyciu okopów ucieczkę.

Dobry to sposób, wpajanie strachem męztwa. Można go polecić, jako arcypraktyczny, wszystkim walczącym o złą sprawę, a mającym na zbyciu dużo tego mięsa, które się wojskiem nazywa.

Dobry to sposób, i dobrze Moskalom pod Pragą się powiódł. Przeciągle, jakby leniwym niesione wiatrem, zagrzmiało z ich strony: hura!

— Hura!... *Boh i carica!...*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nad brzegiem przepaści.

Tłomaczone z angielskiego.

P. O.

Część pierwsza.

3)

(Ciąg dalszy.)

Pani Rayner zwróciła się zaraz ku drzwiom.

— Nie, rzeczywiście, — szepnęła, — nie ma się czego obawiać i życzę pani, aby ci tu dobrze było!

Nie bałam się wcale. Spałam już niejednę noc sama w pokoju, oddalonym zupełnie, i gdyby złodzieje napadli dom, to w wieży doprawdy nie mieliby czego szukać. Ale pomimo to było mi nieprzyjemnie że pani Rayner myśl o strachu nasunęła mi, i teraz mimowoli myślałam o tem, co bym uczyniła w razie jakiego napadu?

Gdy Sara przyszła potem, aby mi przygotować wszystko na noc, rzekłam do niej:

— Jest ten pokój bardzo oddalony od innych, zamieszkałych?

— Mój jest najbliższy, — odpowiedziała, i zapewniam panią, że mam słuch doskonały. Nie obawiaj się pani niczego, — dodała z dziwnym uśmiechem.

— Ja się też nie boję, przyszło mi tylko na myśl, że w nocy, gdy wicher huczy, musi tu być okropnie. Tutaj pewnie najwięcej go słyszeć można!

— Pewnie! — zawołała, śmiejąc się jakimś szatańskim śmiechem. — Goście zresztą odwiedzać tu pani nie będą!

— Bardzo słusznie, bo jedynymi gośćmi, jakich bym się spodziewać w nocy mogła, byliby złodzieje!

— Złodzieje? — powtórzyła przestraszona, — kto pani wspominał o złodziejach?

Jej przerażenie bawiło mnie, dotąd bowiem uważałam ją za osobę, której nic w świecie wzruszyć nie mogło.

— Ach, więc mam więcej odwagi, niż ty, moja Saro, — rzekłam z uśmiechem. — Gdyby tu złodzieje przyszli, to jeszcze prędzej by wyszli, bo przekonaliby się wnet, że nic tu nie ma do zabrania. A ty nie spałabyś tu sama?

Za całą odpowiedź potrząsnęła Sara głową, co mogło oznaczyć tak lub nie, i spojrzała na mnie tak przenikliwie, jak gdyby mi chciała zajrzeć w głąb serca. Potem, zadowolona widocznie swem badaniem, stała się znowu spokojną jak zwykle i powiedziawszy mi uprzejmie „dobranoc“, wyszła.

Ja zaś przyszłam do przekonania, że pani Rayner i Sara są najpiękniejszemi kobietami, jakie mi się dotychczas widzieć zdarzyło.

ROZDZIAŁ VIII.

Pewnego dnia czuła się Emilka słabszą i prosiła mnie, abym została w jej pokoju.

— Wierzysz w sny, miss Doro? — zapytała.

— Nie, moja droga!

— A jednak czasem sen się spełnia.

— To tylko przypadkiem się dzieje?

— Ale ja pani ręczę, że mnie się zawsze śnią rzeczy prawdziwe! Jeżeli przyrzekniesz, że nikomu o tem nic wspomnisz, to ci coś opowiem!

— Przyrzekam ci, kochanie.

Myślałam, że lepiej będzie, gdy dziecko ulży swemu sercu, niż gdyby miało wszystko w sobie zamykać. Emilka była z natury cichą i nieśmiałą, trzeba ją więc było nieco ośmielić i zachęcić do zwierzenia się.

Przysunęłam krzesło do jej łóżeczka, ujęłam jej rączki i rzekłam serdeczne:

— No, słucham uważnie!

— Przypominasz sobie miss Doro — zaczęło dziecko — ów dzień, w którym przeniosłaś się do wieży? Joasia położyła mnie do łóżka i spałam już prawie, gdy nagle usłyszałam, jak mama płacze i krzyczy! A papa odpowiadał jej tak ostro, jak nigdy! Miałam strach, wstałam po cichu i patrzałam przez dziurkę od klucza. W pokoju było jasno, mama leżała w łóżku, papa stał przy stole, trzymał świecę, mówił teraz ciszej, tak, że nie mogłam nic rozumieć. Ale mama płakała coraz więcej. Wtedy papa położył jej coś na twarz, a mama zawołała: „nie, nie, tyko nie to! Zmiłuj się!“ Ale potem uspokoiła się wnet, a papa wyszedł z pokoju. Zaczęłam krzyczeć z całej siły: „mamo, mamo!“ ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi, myślałam więc, że mama umarła. Zobaczyłam jednak, że oddycha i wróciłam do łóżka.

— Czemu nie weszłaś do jej sypialni?

— Drzwi były zamknięte, jak zawsze. Ja raz tylko byłam w sypialni mamy, jedyny raz! I tego dnia powiedziała mi, że..... że.....

— Cóż takiego?

— Nie, to może byłoby źle, miss Doris, gdybym ci powiedziała to, o czem mama zakazała mówić! Przyrzekłam że będę milczała i przyrzeczenia dotrzymać muszę, nieprawda?

— Tak, kochanie, przyrzeczenia zawsze dotrzymać trzeba!

Nie pozwoliłam zatem mówić dziecku więcej, ale pragnęłam usilnie dowiedzieć się, o czem pani Rayner zakazała dziecku mówić. Ciekawość moja była zbudzona i opowiadanie Emilki potwierdziło moje domysły, że jakaś tajemnica istnieje w tym domu, której w żaden sposób rozwiązać nie umiałam, nie mając żadnych danych. Choroba pani Rayner mogła przecież być melancholią, zamieniającą się zwolna w obłąkanie, w jakim więc strachu żył ciągle biedny jej mąż! Poświęcić całe życie na pielęgnowanie kobiety, pozbawionej zdrowych umysłów, to była okropna przyszłość dla człowieka, którego zdolności i przymioty zapewniały mu najświetniejsze w świecie powodzenie!

Obecność Sary w tym domu intrygowała mnie również niezmiernie. Zauważyłam, że ona zupełnie tu inne zajmowała stanowisko, niż zwyczajna służąca — ale to pochodziło pewnie ztąd, że w czasie nieobecności pana Raynera ona sama opiekowała się chorą. Z tem wszystkiem było jasne, że pani Rayner nienawidziła Sarę, tak samo, jak Sara nienawidziła panią Rayner.

Czemu więc pani domu zatrzymywała służącą, do której czuła taką antypatję?

Nie wiem dla czego, ale pan Rayner starał się usilnie ukrywać wobec ludzi chorobę swej żony, i dla tego mieszkał w swem ustroniu. Ryszard więc mylił się bardzo , podejrzewając, że pan Rayner kłamie, nazywając stan jej zdrowia beznadziejnym. Wszyscy myśleli, że biedna chora żyje w takiem odosobnieniu od świata jedynie z rozkazu męża, tymczasem w rzeczywistości był on podług mego zdania nie tyranem, lecz ofiarą jej kaprysów! — Ale z drugiej strony mógł on być hipokrytą przebiegłym, który pod pozorną troskliwością i poświęceniem się, ukrywał charakter zły i samowolny i męczył biedną kobietę. Bo czy nie było dziwnem, że scena, której Emilka była świadkiem, odbywała się w nocy? Bóg wie, jakie tragiczne sceny odgrywały się w pokoju pani Rayner, w tym pokoju, który zaczął się stawać w mej wyobraźni zaklętym?

Zaufanie, jakie mi okazała Emilka, zbliżyło mnie jeszcze więcej do tego drogiego dziecka, a pan Rayner zauważył to widocznie i chciał mi okazać swoją wdzięczność. Prosił

mnie teraz zawsze, abym wieczory przepędzała w salonie; grywaliśmy też dużo razem i za każdym razem obsypywał mnie najgorętszemi pochwałami.

Czasem czytał mi swoje szkice lub nowelki, albo pokazywał akwarele, któremi zajmował się zwykle rano, a ja byłam zdumiona jego najrozmaitszemi zdolnościami. Ten człowiek umiał wszystko, i teraz wiedziałam, nad czem pracował całemi dniami, podczas kiedy łamałam sobie nieraz głowę nad tem, gdzie przebywał całe rano i czem się zajmował! Raz prosił mnie nawet, abym mu pozowała do obrazu większych rozmiarów, a gdy przyrzekł, że jego żona i Emilka będą zawsze obecne na posiedzeniach, zgodziłam się chętnie na jego żądanie.

I zdumiałam niezmiernie przekonawszy się, że pracownia jego była pięknym, obszernym salonem, zupełnie wolnym od wszelkiej wilgoci! Jak on mógł przebywać w tak zdrowym, jasnym pokoju, podczas kiedy żona jego i córka mieszkały w ciemnych i zimnych pokojach, w których powietrze było przesiąknięte wilgocią?

Więc może Ryszard miał jednak słuszność, twierdząc, że pan Rayner był samolubnym?

Nieco później zrobiłam znowu pewne odkrycie, które wypadło na niekorzyść pana Raynera. Pewnego wieczora usłyszałam szelest na schodach, wiodących do mego pokoju, otworzyłam więc ostrożnie drzwi, aby zobaczyć, co się tam dzieje. I co ujrzałam? Na kurytarzu szedł sam pan Rayner z latarnią w ręku i wszedł do jakiegoś pokoju lub komory, której dotąd nie znałam. Po chwili wyszedł, znikł na skręcie kurytarza i znowu wrócił i to powtórzyło się kilka razy.

Wszystko to wywarło na mnie bardzo nieprzyjemne wrażenie. Po co jakieś chodzenie w nocy po pokojach i kurytarzach, we dnie zamkniętych?

ROZDZIAŁ IX.

Kilka dni później obdarzył mnie pan Rayner podarunkiem, który w przyszłości dużo mi sprawił kłopotu.

Był on mi tak wdzięczny za pozowanie do obrazu, który rzeczywiście udał się znakomicie, że pragnął mi koniecznie ofiarować jaką drobnostkę na dowód swej wdzięczności. I pewnego wieczora, gdy Emilka wyszła z salonu, zbliżył sę do mnie z małem puzderkiem w ręku i rzekł serdecznie:

— Droga miss Doro, racz spojrzeć łaskawie na tę skromną pamiątkę, którą przyjmij w zamian za cierpliwość przy pozowaniu mi do mego arcydzieła! Bo ten obraz zjedna mi sławę i to tylko tobie mam do podziękowania!

Mówiąc to otworzył puzderko, wybite blado czerwonym aksamitem, lecz widocznie przeznaczone do innego klejnotu, niż do tego, który się obecnie w niem znajdował. Pan Rayner patrzał na mnie uważnie, chcąc się przekonać, jakie wrażenie wywrze na mnie jego podarunek.

A ja oniemiałam po prostu z zachwytu!

Na jasnoczerwonym aksamicie leżał maleńki zegarek, którego koperta zasypaną była brylantami. Blask kamieni wspaniałych był tak olśniewający, że mimowoli zamknęłam oczy.

— Podoba się to pani? — szepnął pan Rayner.

— Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś podobnie pięknego, — odrzekłam, nie mogąc uwierzyć, aby ten klejnot miał być dla mnie przeznaczonym.

— Lubisz pani takie cacka?

— Nie wiem, czy istnieje na świecie kobieta, którąby tem nie była zachwyconą, — zawołałam nieco zmieszana.

— Pragnęłabyś pani stroić się w brylanty lub inne kosztowne kamienie, i zdobić niemi twoje włosy, szyję, ramiona? — szeptał dalej pan Rayner. — Nie wiedziałam, czy żartuje, czy na seryo mówi.

— Oh, — rzekłam przymuszając się do uśmiechu, — czemu pan pytasz o to? Kosztowne kamienie są dla bogatych i wielich pań, a nie dla biednych nauczycielek!

— Bywało już, że biedne nauczycielki stawały się bogatemi i wielkiemi paniami!

— To się rzadko zdarza!

— A chociaż nauczycielka nie jest bogatą, to jest podług mego zdania tak samo upoważnioną do noszenia klejnotów jak i królowa, mianowicie, jeżeli sobie uczciwie na klejnot zapracowała! Jak pani sądzi?

— Tak, to jest, jeżeli rzeczywiście na niego zapracowała, — odrzekłam zmieszana.

— Więc w takim razie możesz pani bez wahania przyjąć drobnostkę od wdzięcznego malarza! Noś pani ten zegarek na pamiątkę chwil spędzonych w mojej pracowni!

— Nie panie, — odpowiedziałam, odsuwając lekko puzderko, — muszę niestety odmówić przyjęcia tak kosztownego podarunku! Spodziewam się, że pan mi tego za złe nie weźmiesz, ale posiadanie tych brylantów byłoby dla mnie nieustanną męczarnią!

Pan Rayner roześmiał się głośno.

— Widać, że pani jesteś bardzo jeszcze młodą i niedoświadczoną, — zawołał. — W całym Londynie możnaby szukać kobiety, któraby była tak naiwną i uwierzyla, że te brylanty są prawdziwe! Zegarek jest wprawdzie złoty, ale jaka cienka blaszka! Za pięćdziesiąt franków dostaniesz go wszędzie! A brylanty, to czeskie szkło, ładnie szlifowane, dla tego ten blask nadzwyczajny! Nie miss Doro, zegarek, który ci śmiem ofiarować, wygląda rzeczywiście bardzo kosztownie, ale nie jest drogi, inaczej byłbym kazał chociaż inne puzderko do niego zrobić. Wziąłem piewsze lepsze, od jakiejś broszki mojej żony. Z tem wszystkiem ma zegarek ten wielką wartość, dla mnie przynajmniej, bo jest pamiątką! Patrz pani!

I otwierając kopertę zegarka, pokazał mi wyryty na niej w środku monogram i rok 1792.

— Czyj to monogram? — spytałam — R. G. D.

— G. D. R. — poprawił, — Gerwazy Donat Rayner, imiona mego ojca i dziadka. Zegarek ten był własnością mej babki. Klejnoty mej żony zaś złożone są w banku, bo ona nosić ich nie chce. Przyjmując tę drobnostkę, miss Doro, nie pokrzywdzisz nikogo i sprawisz niezmierną radość twemu przyjacielowi, bo pozwolisz mi nim być, nieprawda? I aby cię uspokoić, opowiem wszystko dziś zaraz, przy kolacyi, mojej żonie i Emilce!

— Ale ja nie wiem...., — szepnęłam, nie wiedząc doprawdy, co mówić. — Mnie się zdaje, że to jednak zbyt dla mnie kosztowne.....

— Więc noś go pani pod stanikiem! Wtedy blask szkiełek nikogo razić nie będzie!

Musiałam ostatecznie zgodzić się na jego żądanie i przyjąć zegarek. Podziękowałam mu uprzejmie, starając się przytłumić dziwne uczucie bojaźni i niezadowolenia, jakiego nagle doznałam.

Przy kolacyi powiedział pan Rayner żonie o tem, że podarował mi zegarek i dodał w końcu:

— Ile mnie to pracy kosztowało, zanim skłoniłem naszą dumną miss Dorę do przyjęcia zegarka, wartości kilku marek! Taką drobnostkę uważa chyba za niegodną siebie!

— Ależ panie, — zawołałam zdumiona niezmiernie tym niespodziewanym zwrotem, — przecież ja......

Przerwałam nagle, bo Sara, która się właśnie w salonie znajdowała spojrzała na mnie z taką wściekłą nienawiścią, że mimowoli spuściłam oczy i mówić dalej nie mogłam.

Ona nie była pewnie tego zdania, aby nauczycielki nosiły klejnoty!

Zdawało mi się, że pani Rayner była także mocno niezadowoloną, zegarek ten więc, którego doprawdy nie pragnęłam, sprawiał mi od samego początku więcej przykrości niż przyjemności.

Ale gdy wieczorem przyszłam do mego pokoju, nie mogłam się oprzeć chęci obejrzenia mego klejnotu i pięknych, fałszywych kamieni. Wyjęłam go więc i cieszyłam się jak dziecko blaskiem, jaki kamienie te posiadały. Ile muszą kosztować prawdziwe brylanty i jaki blask muszą mieć one, jeżeli te szkiełka jaśnieją już jak promienie słońca!

W tej chwili usłyszałam szelest za sobą i gdy się obejrzałam, spostrzegłam Sarę. Pod pozorem przyniesienia mi wody przyszła tutaj, ja zaś wrzuciłam zegarek do szufladki i zamknęłam ją szybko.

— Ah, to ten zegarek, — rzekła szyderczo, — który kosztuje kilka marek.

— Możesz być pewną, Saro, — odpowiedziałam, — że pan Rayner nie ofiarowałby mi kosztownego podarunku!

— Wszystko zależy od tego, jaką mu kto przysługę wyświadcza!

W słowach tych było tyle ubliżającej mi złośliwości, że gdy wyszła, zaczęłam głośno płakać.....

ROZDZIAŁ X.

Była to właściwie pierwsza przykrość, jakiej tu doznałam, zresztą nie miałam się na co skarżyć. Bywały nawet chwile, w których czułam się niezmiernie szczęśliwą, a mianowicie, gdy Ryszard przyjeżdżał i gdy byłam w jego towarzystwie. Zdarzało to się jednak, niestety, bardzo rzadko! Raz po raz przysyłał mi kwiaty, co mnie nad wyraz cieszyło — czułam wogóle, że on mnie kocha i zaczynałam marzyć o przyszłości z nim...

Ale równocześnie przekonałam się, że pan Rayner domyśla się naszej miłości i że jest jej przeciwny. Listy, które Ryszard pisywał czasem do mnie, były otwierane i znów zaklejane — poznałam to zaraz — i podejrzywałam Sarę o pomaganie mu w tem.

Ale pan Rayner był tak uprzejmym dla mnie, że przyjaźń nasza stawała się z każdym dniem ściślejszą. Pewnego wieczora, gdy śpiewał przy mojem towarzyszeniu jakąś prześliczną pieśń włoską, zaczął mi opowiadać o Włoszech i o pięknościach tego cudnego kraju.

— Dałbym wszystko co mam, — szepnął, — gdybym był teraz naprzykład w Wenecyi z kobietą, którą kocham! Tam mógłbym łatwiej mówić jej o mojej miłości, tam zrozumiałaby mnie prędzej...

Namiętny dźwięk jego głosu dziwnie mnie zaniepokoił, lecz zbierając całą odwagę, rzekłam:

— Więc czemu pan nie jedziesz z tą kobietą do Wenecyi?

Twarz jego zachmurzyła się.

— Przepraszam pana, — zawołałam, — jeżeli poruszyłam temat nieprzyjemny dla pana, ale wszakże sam o tem zacząłeś! Dziwiłam się też już nieraz nad tem, że pan nie starasz się zwalczyć uporu żony i nie zmuszasz jej do bywania w towarzystwach!

— Miss Doro!

— Tak jest! Gdybyś pan wyjechał z nią za granicę... Możeby się z początku opierała, możeby robiła trudności, ale jestem pewna, że wkrótce odżyłaby na nowo! Poznałaby, o ile pan jesteś lepszym dla niej mężem, niż inni mężowie dla swych żon... Bo pan jesteś bardzo dobrym! I uznałaby dobroć pana, i...

Pan Rayner zmarszczył czoło tak, że umilkłam. Poznałam, że posunęłam się za daleko, lecz on ujął moją rękę i uścisnął ją serdecznie.

— Przepraszam pana... — szepnęłam.

— Nie obraziłaś mnie wcale, droga miss Doro, — rzekł, trzymając ciągle moją rękę, — nie możesz przecież wiedzieć, że... nie możesz się nawet domyślać, jakie męki znosi człowiek, który ciągle musi udawać... który ciągle musi odgrywać komedyą! Jestem pewny, że żałowałabyś mnie, gdybyś znała dokładnie moje kłopoty i troski!

— Ja i tak już żałuję pana z całego serca, — rzekłam łagodnie.

Pan Rayner pochylił się ku mnie i spojrzał mi w oczy.

— Jesteś pani kobietą najmniej dla mnie zrozumiałą, — zawołał z uśmiechem. — Twoje wielkie oczy, pełne namiętnych obietnic, patrzą czasem zimno, jak gdyby miały lód w sobie! Pani nie masz serca, a jednak...

— Co pan mówisz! — rzekłam zmieszana i zaniepokojona jego słowami. I wysunąwszy rękę z jego dłoni, zaczęłam układać nuty.

— Daj pani pokój, — prosił, — ja sam to zrobię! Zdaje mi się zresztą, że zbyt długo zatrzymałem cię tutaj. Dobranoc!

Podał mi znowu rękę i wyszedł, a ja zostałam sama, niezadowolona z niego i z siebie. Musiałam zmienić moje postępowanie względem pana Raynera, czułam to bardzo dobrze, że nasza przyjaźń nie mogła taką być nadal jak była dotychczas, i żal mi było tego, ale przez wzgląd na Ryszarda trzeba mi było w przyszłości unikać sam na sam z panem Raynerem.

ROZDZIAŁ XI.

Idąc wolno po krętych schodach do mego pokoju, rozmyślałam nad tem, czemu mnie pan Rayner nazwał niezrozumiałą i czemu powiedział, że nie mam serca.

Przecież okazywałam mu zawsze dużo sympatyi i on musiał wiedzieć, że go lubię i szanuję, ale położenie moje obecne nakazywało mi dużo ostrożności i taktu.

Weszłam do mej sypialni. Noc była cicha, spokojna. Szłam wolno, a pomimo to świeca mi zgasła nagle, jak gdyby za silnym powiewem wiatru, i równocześnie usłyszałam głośne oddychanie istoty ludzkiej. Byłam tak przerażona, że w pierwszej chwili nie mogłam się z miejsca ruszyć, potem jednak, odzyskawszy nieco przytomność, wytężyłam wzrok, starając się rozpatrzeć w ciemności. Okiennice jednak były zamknięte i rolosy spuszczone, tak, że nawet najsłabszy promień księżyca nie mógł się tu przedostać. Nie śmiałam ani iść dalej, ani się cofnąć, wyciągnęłam tylko ręce w kierunku kominka, na którym stało zawsze pudełko zapałek i w tejże chwili ujrzałam, pomimo ciemności, jakąś postać biegnącą od mego łóżka do drzwi. Nie wołałam, nie wymówiłam ani słowa, ale drżałam tak silnie, że długo trwało, zanim znalazłam zapałki i zapaliłam świecę.

Potem zamknęłam drzwi na klucz. Jak dobrze, że nie uczyniłam tego wchodząc tu — byłabym się zamknęła razem z złodziejem! Otworzyłam następnie okiennice i patrzałam na niebo, na drzewa — bezmyślnie, nic nie widząc, tak jeszcze byłam pod wpływem doznanego przerażenia. Zdawało mi się, że za każdem drzewem stoi ktoś, że słyszę szelest na schodach, i zasunęłam czemprędzej rolosy, nie chcąc już nic widzieć. Tymczasem świeca zgasła mi znowu, lecz tym razem wskutek przeciągu. Szukałam zapałek, lecz nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie je poprzednio położyłam. Odzyskałam jednak przytomność już o tyle, że postanowiłam zejść do kuchni po zapałki, bo nie byłabym za nic w świecie przepędziła tej nocy w ciemności. Księżyc świecił dosyć jasno, mogłam więc iść bezpiecznie.

Zeszłam dosyć śmiało na dół. Pierwsze drzwi na lewo były otwarte, wiodły one do komory pełnej szczotek i mioteł, drugie do kuchni były zamknięte na klucz. Udałam się zatem do sieni — stały tam zawsze lampy, świece i zapałki. Bałam się tylko spotkania z panem Raynerem,

może jeszcze nie poszedł do swego pokoju i słysząc szelest w sieni, wyjdzie... Musiałabym mu w takim razie powiedzieć wszystko, a tego obecnie pragnęłam uniknąć.

Ale wszedłszy w kurytarz usłyszałam w pracowni pana Raynera przytłumione głosy. Rozpoznałam natychmiast głos Sary — mówiła ona dosyć głośno, a słowa jej mogły się odnosić tylko — do mnie!

— Nienawiść ku niej? — wołała, — czemu? Z jej twarzą białą i różową wygląda ona jak dziecko, które codopiero piastunka wypuściła z pod swej opieki!

— Więc nie masz jej nic do zarzucenia? — zapytał pan Rayner szorstko.

— Nic! Zgoła nic!

Teraz brzmiały w głosie Sary łzy i mimowoli uczułam litość dla niej.

— Więc możesz wyjechać!

— Wyjechać? — jękła z rozpaczą. — Czy myślisz, że mnie tak łatwo zastąpić można?

Była ona widocznie tak wzruszoną, że zapomniała o szacunku, jaki powinna mieć dla swego pana!

— Widzę, że służąca, — odezwał się znowu pan Rayner, — która za wysokie pobiera zasługi...

— Wysokie zasługi? — przerwała gwałtownie. — Moja robota nie może być nigdy dosyć zapłaconą!

— Tak długo, dopóki mogłem liczyć na twoją dyskrecyą, płaciłem ci bardzo wiele, teraz, gdy zazdrość opanowała cię tak, że zapominasz o wszelkiej ostrożności, zmienia się wszystko. Zapominasz także, że każdy ma zostać na wyznaczonem miejscu. Albo się więc musisz zmienić, albo dom mój opuścić.

— Aha, więc wolisz tę ostatnią?

— Nie mogę pozwolić na to, aby służąca robiła przepisy w moim domu, chociażby usługi, jakie mi oddała, jeszcze były większe.

— Oddała? Mówisz wszystko w czasie przeszłym, tymczasem zadanie moje długo jeszcze nie jest skończone. Od chwili, w której przestanę pracować dla ciebie, zacznę pracować przeciwko tobie!

— No, no, zobaczymy, moja Saro, — rzekł pan Rayner ostro, po chwili zaś dodał łagodniej:

— Czy myślisz, że ja się łatwiej nie obejdę bez ciebie, niż ty bezemnie?

Wtedy Sara głośno płakać zaczęła.

— Ach! — zawołała, — jak możesz być tak okrutnym i nielitościwym dla mnie! Czy już nie uważasz mnie za zdolną do niczego innego jak do załatwiania spraw pieniężnych? Umieram z rozpaczy gdy widzę tu najważniejsze miejsce powierzone jakiejś tam przybłędzie, która mnie w niczem zastąpić nie potrafi?

— Zaczynasz majaczyć, Saro, myślę, że nie ma porównania pomiędzy nauczycielką a służącą. Zresztą przestańmy już mówić o miss Dorze Christie.

— Bardzo dobrze! Składam hołdy tej zalotnicy. Umie ona chować w szafce równocześnie brylanty, które otrzymała od jednego mężczyzny, i całować bilet, otrzymany od innego!

— Cicho! Powiedziałem ci raz już, że cię to nic obchodzić nie powinno.

Słyszałam jeszcze, że pan Rayner wstał i przeszedł na drugą stronę pokoju, uciekłam więc szybko, unosząc z sobą pudełko zapałek. I szłam znów do mej sypialni w wieży, cicho, ostrożnie, jak złodziej.....

ROZDDZIAŁ XII.

Podsłuchałam rozmowę pana Raynera i Sary bez żadnego wyrzutu sumienia, ale nie chciałam, aby oni o tem wiedzieli. Gdyby pan Rayner był mnie widział stojącą pod drzwiami, byłby mi przestał ufać. Teraz jednak, gdy się znalazłam w moim pokoju, zaczęłam płakać z wstydu. Jak mogłam podsłuchiwać!

Zapaliłam świecę i czułam się tak nieszczęśliwą i przygnębioną, że nie myślałam nawet o zasunięciu rygla przy drzwiach. Przekręciłam tylko klucz i wyjęłam go, i położyłam jak zwykle na stole.

Nie wątpiłam teraz już ani na chwilę, że Sara była odpowiedzialną dozorczynią pani Rayner, i grożąc swemu panu tem, że będzie pracować przeciwko niemu, chciała mu dać do zrozumienia, że odkryje światu rzeczywisty stan zdrowia nieszczęśliwej obłąkanej. Wytłumaczyłam sobie wszystko zupełnie dokładnie. Pan Rayner nie chciał, abym wiedziała, jak chorą jest jego żona, Sara natomiast zamierzała mnie w wszystko wtajemniczyć.

Zauważyłam teraz, że szafka, w której miałam rozmaite drobiazgi nie stoi na zwykłem miejscu. Czy ją posunęłam sama, szukając w ciemności zapałek? Potem przyszło mi na myśl, że Sara mówiła panu Raynerowi o zegarku, który tam schowałam!

Owa szafka była maleńkim mebelkiem, wysokim, wązkim, w stylu roccoco, na kółeczkach, i posuwała się bardzo lekko, a dywan, którym cały pokój był wyłożony, tłumił wszelki szelest. Może więc jednak ja sama zmieniłam jej miejsce! Kluczyk do niej miałam zawsze przy sobie, nikt więc nie mógł jej otworzyć.

Zegarek leżał też tam, gdzie go położyłam, ale listy Ryszarda były porozrzucane, a ostatniego jego biletu wcale znaleść nie mogłam.

Podejrzenie moje padło zaraz na Sarę. Nikt inny tylko ona była tu dziś, nikt inny tylko ona otworzyła moją szafkę, widziała zegarek i przerzuciła listy Ryszarda! Chciała się przekonać o czem on do mnie pisze i wzięła jeden z nich, aby go pokazać panu Raynerowi jako dowód mej zalotności!

Drżałam z gniewu i oburzenia na tę śmiałą, bezczelną dziewczynę. Czy ona mi odda list Ryszarda, mój skarb jedyny?

Siedziałam długo, zamyślona, bezradna, nie wiedząc, jak dalej postępować, aż w końcu zmęczenie przemogło wszystkie inne uczucia. Położyłam się i zaczynałam już usypiać, trzymając w ręku jeden z listów Ryszarda, gdy nagle zerwałam się, na wpół oszalała z trwogi i przerażenia — w pokoju było światło!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Livingstone Beecher.

Telegram.

(Dokończenie.)

— Więc powiadasz, Jakóbie, że po nocach ktoś tu chodzi, chociaż nikogo nie widać?

Służący Pallisera, który w ciągu ostatnich dni wychudł ogromnie, obejrzał się ze strachem dokoła.

— Tak, sir — powiedział półgłosem.

Baldwin wyszedł z jadalni i skierował się do przedpokoju.

— Jakóbie, nie mówiłeś przecież nikomu, że ja byłem wtedy wieczorem i pytałem się o telegram?

— Nie, panie — odrzekł służący. — Sędzia śledczy dopytywał się bardzo, czy nie był tu kto jeszcze prócz woźnych z telegrafu, ale ja przyrzekłem panu milczeć i nie powiedziałem ani słowa.

Adwokat odetchnął z pewną ulgą.

— Jakóbie, czy wierzysz temu, co ci mówiłem o telegramie? — zapytał jeszcze.

— Wierzę — bez wahania odpowiedział służący.

— Czy wierzysz memu słowu honoru, że nie wiem, co było w pierwszym telegramie i że drugi był wysłany na żart?

— Tak, sir. Jestem przekonany, że pan nie jest winien temu, co się stało. Ale nie rozumiem dlaczego on nie powraca...

Jakób umilkł i zaczął przysłuchiwać się.

— Czy pan nie słyszy? — zapytał szeptem.

Baldwin przecząco pokiwał głową i wstał z krzesła.

— Chodź, obejrzymy cały dom, zanim się zupełnie ściemnieje — powiedział. — Dziś postanowiłem wyśledzić to widmo, choćbym musiał tu siedzieć do rana.

Wyszli obaj z przedpokoju i udali się frontowymi schodami na pierwsze piętro. Kiedy weszli do ostatniego pokoju, Jakób drgnął.

— Widzi pan — zawołał głosem drżącym.

Baldwin nic nie rozumiał.

— Pościel na łóżku, sir...

Baldwin zapalił zapałkę. W półmroku ukazało się w kącie pokoju żelazne łóżko, zakryte białą, szydełkową kapą.

Ja nic nie widzę — powiedział adwokat.

Jakób zbliżył się do łóżka i poprowadził ręką po pościeli.

Zapałka błysnęła, upadła na ziemię i zgasła.

— Dziś rano pościel była w zupełnym porządku, — powiedział służący, kierując się ku wyjściu.

Milcząc, poszli na drugie piętro. Przeszedłszy pół piętra Baldwin, zatrzymał się, wyjął z kieszeni małą śrubkę i wkręcił ją w mur. Z drugiej kieszeni wyciągnął sznurek, na którym wisiały jakieś małe przedmioty. Jakób po ciemku nie mógł dobrze przyjrzeć się im.

Adwokat przywiązał jeden koniec sznura do wkręconej śruby, a drugi do poręczy schodów na odległości ośmiu stóp od podłogi.

— Teraz nie wymknie się nam — powiedział.

W tej chwili dał się słyszeć jakiś dźwięk — przerażony służący spojrzał na Baldwina.

W starych domach bywają zwykle rozmaite dziwne dźwięki: szamotania się szczurów za tapetami, wycie wiatru w kominach, trzask zeschniętego drzewa — wszystko to słyszeli Baldwin i Jakób, siedzący w milczeniu w pokoju jadalnym.

Zegar ścienny w przedpokoju dawno już wybił północ, a pewne ochrypłe syczenie wskazywało, że ma zamiar uderzyć pierwszą — rozległo się jednokrotne uderzenie i znowu zapanowała zupełna cisza.

Dzyn... dzyn.. dzyn... rozległo się nagle na schodach, a potem słychać było, jak coś ciężko upadło.

Baldwin i Jakób z głośnym okrzykiem rzucili się do przedpokoju i wbiegli na pierwsze stopnie.

— Stój! — krzyknął ktoś dzikim głosem nad ich głowami.

— Za nic — odkrzyknął Baldwin — i puścił się do góry.

W tej chwili rozległ się huk, coś błysnęło i kula rewolwerowa ugrzęzła w poręczy schodów. Z dołu dał się słyszeć drugi strzał. Puste pokoje napełniły się przeraźliwym, bolesnym krzykiem. Krew zcięła się w żyłach Baldwina i Jakóba, jak nieprzytomni zaczęli biedz na górę i ujrzeli uciekającą przed nimi postać. Lecz kiedy weszli na ostatnie stopnie, postać nagle znikła. Jakób nacisnął elektryczny guziczek i oświetlił schody.

Twarz Baldwina blada była jak płótno.

— To był jego głos, Jakóbie — wymówił z trudnością.

Jakób wahał się.

— I tak i nie, sir, to był głos duszy, wołającej z piekła.

Przy drzwiach wchodowych słychać było jakiś hałas — to stróż nocny i policyant dobijali się, ażeby ich wpuszczono.

Minął tydzień.

W wieczór niedzielny znowu pięciu przyjaciół zeszło się u Morrisa. Wszyscy rozmawiali półgłosem i mówili ciągle o Palliserze.

— Czy to był on sam wtedy w nocy? — pytał się po raz dwudziesty Holl — czy jego zabójca?

Baldwin podniósł głowę.

— Jestem mocno przekonany, że byliśmy tylko ślepem narzędziem w rękach Opatrzności. Naturalnie nigdy już nie zobaczę mego przyjaciela i nie dowiem się, do kogo strzelałem wtedy w nocy w jego domu.

Ktoś zastukał do drzwi.

Fenche otworzył i wpuścił chłopaka od windy, który przyniósł jakiś list.

— To do pana, panie Fenche. Fenche rozdarł kopertę i przeczytawszy uważnie włożoną w nią kartkę, przywołał Chestera.

Baldwin spojrzał na nich bystro i powiedział głosem spokojnym:

— To od niego?

* * *

Obaj przyjaciele prędkim krokiem udali się do jednej z bardziej oddalonych dzielnic miasta. Byli już w odległości jednej mili od środka, kiedy Fenche nagle zatrzymał się.

— To zapewne tutaj — powiedział, dotykając się ręką zardzewiałej klamki ogrodowej furtki.

Weszli na duże podwórze, porośnięte trawą. Wązka ścieżka prowadziła do czworobocznego, ceglanego domu, dokoła którego rosły stare dęby. Dom robił wrażenie niezamieszkałego. Fenche uderzył miedzianym młoteczkiem pięć razy we drzwi i jakaś zgrzybiała staruszka otworzyła je natychmiast.

— Spieszcie się panowie — powiedziała, wskazując małe drzwi pod schodami.

Fenche nacisnął klamkę, i nagle, obaj przyjaciele znaleźli się nad brzegami Bosforu.

Ściany dużego pokoju zawieszone były drogiemi, wschodniemi materyami, a nogi tonęły w puszystym kobiercu. Po środku biła niewielka fontanna.

Przy przeciwległej ścianie stała duża otomana, którą chwilowo zamieniono w łóżko.

Na białej poduszce spoczywała głowa ludzka. Wpadnięte policzki jej nie posiadały ani kropli krwi i tylko czarne, przenikliwe oczy świadczyły, że należała ona do żywego człowieka. Ciszę, panującą w pokoju, przerywał tylko szmer fontanny.

Nagle głowa przemówiła — był to głos Pallisera.

— Przyszliście jeszcze w porę, sądziłem, że się już was nie doczekam.

Chester chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł wydobyć głosu.

— Jest już godzina jedenasta — mówił dalej Palliser, a raczej jego głowa — a powiedziano mi, że umrę o dwunastej.

Fenche zrobił krok naprzód.

— Co to?... co to znaczy... wyszeptał.

Głowa poruszyła się.

— To znaczy — mówił głos dziwny, jakby maszynowy, to znaczy, że nadeszła pora zapłacić za swój grzech.

— Ty umierasz? — zapytał Fenche, chociaż wiedział, że mu nie odpowiedzą.

Palliser zaśmiał się: był to śmiech, przejmujący dreszczem obecnych.

— Umieram po jednym calu, poniżej brody całe moje ciało już jest umarłe. Tylko serce bije jeszcze i dla tego nie jestem trupem. Jak paraliż dojdzie do mózgu i ono bić przestanie i mnie już nie będzie.

Chester zbliżył się do otomany. Na twarzy jego odmalowała się głęboka litość.

— Żałujemy cię bardzo — powiedział. — Może byśmy mogli dopomódz w czem? Dla czego chciałeś nas widzieć?

Wielkie, czarne oczy Pallisera napełniły się łzami.

— Z trzech przyczyn — odpowiedział. — Po pierwsze, ażebyście pochowali mnie nie pod mojem prawdziwem nazwiskiem. Nazywam się obecnie Jakób Starry. Pragnę, aby los Jerzego Pallisera nikomu nie był znany. Powtóre, chcę, ażebyście się rozporządzili mojem mieniem. Testament znajdziecie w jednej z szufladek mojego biurka tam, w domu. Po trzecie — tu twarz jego zadrgała nerwowo — przed śmiercią chciałem mieć przy sobie kogoś z blizkich przyjaciół.

Fenche i Chester, głęboko wzruszeni, usiedli po obu stronach otomany. Na jakimś zegarze wybił kwadrans na dwunastą.

— Wszyscy myśleli, że Jerzy Palliser nie ma plamy na swem sumieniu, — mówił dalej umierający. — I pokus miał on niewiele, lecz oto nadeszła pokusa wraz z namiętnością i Jerzy Palliser znalazł się tutaj. Chester ze współczuciem pochylił się ku niemu.

— Tą pokusą była kobieta? — zapytał.

— Tak — odrzekł Palliser.

— Nie chcemy wiedzieć jej imienia — dodał pospiesznie Chester.

— Ja też nie mogę wymienić go.

Słuchacze mimowolnie wstrzymali oddech.

— Nie możecie nawet sobie wyobrazić, kto ona jest — mówił dalej Palliser — i nie starajcie się domyślać. Trzy lata walczyłem ze sobą... pokochawszy kobietę zamężną.

Umilkł. Zegar uderzył pół do dwunastej.

— Myślałem, że ludzie nigdy niczego się nie dowiedzą. Właśnie trzy tygodnie temu postanowiliśmy się rozejść. Wszystko już było gotowe do mojej podróży za ocean. Miałem postanowienie zacząć nowe życie. Kupiłem już bilet i tylko przed odjazdem miałem się z nią zobaczyć po raz ostatni. Ale wiedząc, że gdy ją ujrzę, nie będę miał siły odjechać, walczyłem długo i zwyciężyłem siebie.

Głowa Pallisera drgnęła nerwowo.

— W chwili właśnie mego zwycięstwa otrzymałem od niej telegram z prośbą, ażebym przyszedł tu.

— Tu! — wykrzyknął Chester.

— Tak. Tutaj spotykaliśmy się z nią zawsze.

Znowu umilkł, a za chwilę zaczął mówić z widocznym pośpiechem.

— Telegram zmusił mnie do zapomnienia o wszystkiem. Pobiegłem jak szalony, ale ona nie przyszła. Czekałem przeszło dwie godziny, poczem wróciłem do domu, gdzie zastałem drugi telegram, donoszący o tem, że wszystko się wydało i że muszę uciekać... Ukryłem się tutaj...

Fenche i Chester spojrzeli po sobie, ale nie powiedzieli ani słowa, nie chcieli mówić prawdy.

— Dla czegoż nie wyjechałeś nazajutrz? — zapytał Chester.

— To, co tracimy, staje nam się zwykle podwójnie drogiem — odrzekł Palliser. — Widząc, że nadszedł koniec wszystkiemu, postanowiłem uciekać razem z nią. W domu moim są małe schodki, po których nikt nigdy nie chodzi. Prowadzą one na wierzchnią platformę schodów frontowych. Przychodziłem w nocy do domu i przechadzałem się po górnem piętrze. Bałem sę pokazać służącemu, ażeby mnie nie zdradził. Ale oto ktoś zastawił na mnie sidła w moim własnym domu. Chcąc przestraszyć napastników, dałem wystrzał. Czyżbym kogo zranił?

— Nie — odrzekł Fenche.

— Chwała Bogu! — westchnął umierający. Na mój wystrzał odpowiedziano wystrzałem i kula zraniła mnie w kość pacierzową. Nie pamiętam już, jak dowlokłem się tutaj. Przez cały tydzień przechodziłem nadludzkie cierpienia.

— Czyż nie wezwałeś doktora? — zapytał Chester.

— Doktor nie mógł nic pomódz. Najstraszniejszy atak miałem tego wieczora i wiedząc, że nie dożyję ranka, posłałem do niej kartkę z prośbą, żeby przyszła pożegnać mnie po raz ostatni. Czekałem na nią o siódmej, nie przyszła!... I ona nawet opuściła mnie...

W tej chwili ktoś głośno zastukał do drzwi. Głowa Pallisera nerwowym ruchem podniosła się z poduszki.

— To ona! — zawołał nieszczęśliwy.

Fenche i Chester porwali się z miejsc.

— Przysięgnijcie, że nie będziecie patrzeć i ukryjcie się za tą kotarą — krzyknął Palliser.

— Przysięgamy! — zawołali Chester i Fenche i obaj wyszli do alkowy.

Drzwi skrzypnęły i jednocześnie od strony otomany rozległ się krzyk. Ktoś przebiegł przez pokój i upadł na kolana.

— Kto opowiedział wszystko twemu mężowi? — pytał szeptem Palliser.

— On o niczem nie wie — odrzekł drżący głos kobiety.

— On o niczem nie wie! — westchnął ciężko umierający. — Któż więc przysłał mi ten telegram: „Wszystko wydało się, uciekaj!“

Kobieta widocznie starała się opanować wielkie wzruszenie.

— To był żart twoich przyjaciół... nie wiedzieli, że to się skończy tak źle...

— Dla czegoż nie przyszłaś wtedy, tego wieczora? — pytał coraz cichszym głosem Palliser.

— W ostatniej chwili musiałam zostać w domu, nie mogłam nic poradzić.

Palliser uśmiechnął się słabo.

— Więc to znaczy, że wszystko było tylko żartem... — szepnął.

Zegar uderzył północ. Nastała zupełna cisza, którą po chwili przerwały głębokie łkania.

W parę minut potem kobieta pospiesznie wyszła z pokoju.

Była już pierwsza po północy, kiedy Fenche i Chester wrócili do Morrisa.

Baldwin podniósł się z krzesła.

— Palliser umarł? — powiedział.

Fenche kiwnął głową.

— O północy?

— Tak. Kto ci to powiedział?

— Nie wiem. To był mój najlepszy przyjaciel, czułem wyraźnie chwilę jego zgonu.

Wziął do rąk kapelusz.

— Muszę już iść — powiedział, kierując się ku drzwiom.

Fenche spojrzał na Chestera.

— Trzeba go zatrzymać, żeby ona miała czas dojść do domu — szepnął.

— Prawda, powinniśmy to zrobić koniecznie...

Tłom. *F. Popławska.*